ŚWIAT KOBIECY

REKORD



ROK 1925

NR. 18

CENA ZŁ 1·80

REKORD
ŚWIAT KOBIECY

CZASOPISMO POŚWIĘCONE MODZIE I SPRAWOM KOBIECYM

HARLAND

ROK V | 15 WRZEŚNIA 1925 | NUMER 18

LISTY O MODZIE



Paryż, we wrześniu 1925

Kochana Zosiu!

Chcesz koniecznie wiedzieć, jak się należy ubrać w czasie międzysezonowym? Na letnie muśliny i tiule już zapóźno, nowa Moda nie odsłoniła jeszcze swego oblicza. Jednakże nie należy pogardzać sukniami letniemi: te barwne muśliny jedwabne, te tiule różowe i koronki koloru starej, zżółkłej kości słoniowej, oddadzą nam niejedną usługę podczas „zielonego karnawału“, podczas zebrań i polowań na wsi, lub jakichś wieczorków w mieście. Szczególniej zanim Wielka Moda — *„La Grande Mode“* — przemówi...

Wszakże jeszcze Południe oddecha ciepłem... Wszakże i Polska szczyci się piękną jesienią, szczególniej wrześniem. A ja mam oczy jeszcze pełne wizji najpiękniejszych kobiet, ubranych jak kwiaty i motyle. Duży miękki kapelusz, pleciony ze słomek i wstążek dodawał jeszcze uroku tym kobietom-kwiatom. Latem wszędzie na plażach prym dzierżyły kolory jasne, ale nie krzyczące; czarnego widywało się mało i chyba jako dodatek, albo pod postacią migotliwych *pailletek.*

Całość z muślinów jedwabnych w tonie jaskrawym, ale skojarzonych z czarnym, ma duże powodzenie. Pani L. słynna ze swej elegancji, miała na otwarciu *Country Club*'u w *St. Cloud* toaletę w tonie ciemno-czerwonym, spódniczka w ładnie układane *panneaux*, rozwiewająca się na wszystkie strony, całość owinięta w tiul koloru kasztana wyłuszczonego, przystosowanego w tonie do pończoch i pantofelków atłasowych. Amerykanka mrs. B. znana ze swej modnej figurki, w sukni z muślinu jedwabnego koloru fuksji, miała stanik, przecięty pod pachą aż do stanu, była wprost nierealnie szczupła w tych płatkach kwiatowych, porozcinanych i trzymających się jedynie na srebrnej niewidzialnej niteczce. Wszystkie prawie te suknie lekkie są umocowane w spódnicy zapomocą trójkąta drucianego, co nadaje spódniczce krój nowy i wygląd bardzo wyszczuplający. Obok tych toalet, będących *le dernier cri* Mody, jest wiele pięknych rzeczy i pomysłów, nadających kobiecie wygląd bardzo szykowny. A nawet kobiety nie lubiące ostatniej mody, muszą przyznać, że „futeralik“ *(fourreau)* z paljetek, z perełek lila i różowych oraz kryształków, rysujących od góry do dołu naszywki, są rzeczą bardzo elegancką. Nadaje to więcej osobistego stylu i wdzięku. Hafty są przebogate. To, co się widzi na Wystawie Sztuk Dekoracyjnych, przechodzi wszelkie pojęcie ludzkie. Widuje się np. *fourreaux* będące jednym kwietnikiem wypukło haftowanych jedwabiami i złotem kwiatów, podczas gdy górna część stanika jest jakby lekkim obłokiem tiulu. Hafty czerpią motywy ze wzorów staro-



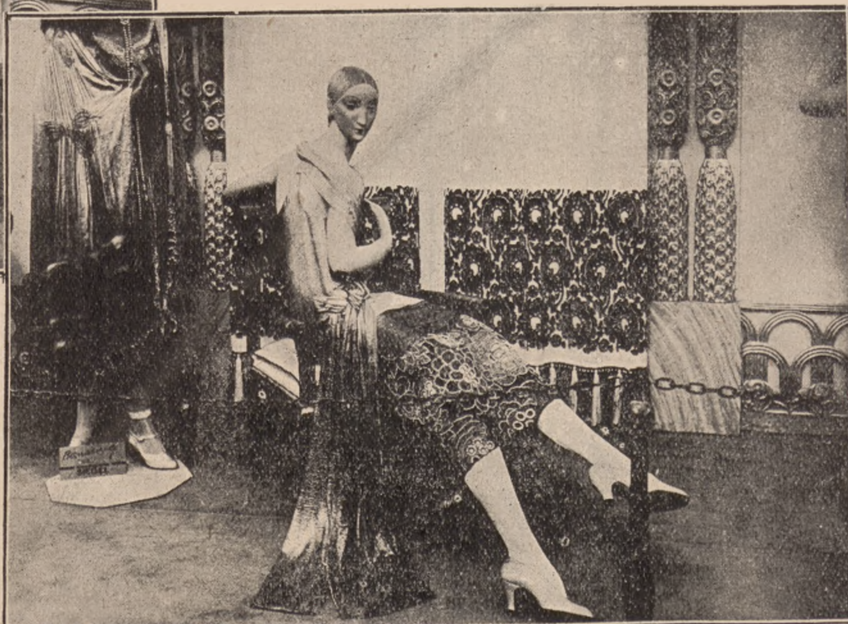
stroje“ ale wyhaftowane swojemi rękami. Tylko trzeba pomyśleć o tem wcześniej, dostać wzory i zabrać się do roboty. Jestem pewna, że Ty będziesz miała „suknie-cudo“, bez uciekania się do przemycania sobie strojów zagranicznych. Napisz mi, co wymyśliłaś? Ja zawsze mogę Ci służyć dobrą radą, a czasem i jakimś wzorem. Suknie są wciąż bardzo krótkie, jeszcze krótsze niż były. Wygląda to ładnie, gdy kobieta jest młodziutka i szczupła, ale ponieważ, niestety, niezawsze tak bywa, więc należy być bardzo ostrożną przy próbie toalety.

Obuwie jest bardzo rozmaite, czasem zupełnie nieoczekiwane. Na spacery lakier, obcasy płytkie, wygodne. Do sukien strojnych pantofelek atłasowy, z obcasem często inkrustowanym strasami na skórce czerwonej. Widuje się również często sandałki na wysokich obcasach z kolorowych jedwabi, przytrzymanych na podbiciu jedną przepaską złotą. Są również sandałki z cienkich rzemyczków jedwabnych złotych, przeplatanych czarnymi. Modne bardzo są płytkie lakierki ze skórki kolorowej, z połyskiem zupełnie lustrzanym. Trzewiki także, np. fiołkowe, są bardzo ładne i uzupełniają modną toaletę.

Pończoszki nadal są cieliste do sukien jasnych, zaś czarne do ciemnych. Ale największą nowością jest — powrót triumfalny rękawiczek, tak jest, tych zaniedbanych tak długo rękawiczek, krótkich i długich! Ale o tem już na następny raz!

Twoja ciotka

Paula Ł.



żytnych albo wschodnich, często hinduskich, kosztują mały majątek.

Piszę Ci o tem, Zosieńko droga, byś wiedziała, co jest modne, ot, tak, poprostu z obowiązku kronikarskiego. Wiem, że ani Ty, ani Twoje znajome panie nie sprowadzą tych cudów dla siebie. Zbyt są rozsądne, by dla takich fatałaszków i gałganków nadszarpywać budżet domowy, jakoteż i skarb państwa...

Polki słyną z poczucia artystycznego i zręczności swych ładnych rączek. Dowody tego widzimy też i tutaj, na Wystawie. Więc jestem pewna, że same wiele zrobić potrafią, że będą miały na karnawał „takie właśnie modne



AFORYZMY O KSIĄŻCE

„Gdybym miał dla siebie wyprosić taką skłonność, któraby mi mogła dopisać przez całe życie i we wszelkich okolicznościach być źródłem szczęścia i wesołości, tarczą przeciw przeciwnościom w najmniej pomyślnych warunkach, a nawet w razie gdyby wszyscy ludzie odwrócili się ode mnie — wybrałbym sobie upodobanie do książek. Daj człowiekowi tę skłonność, oraz środki zadowolenia jej a niechybnie uczynisz go szczęśliwym, o ile nie dasz mu do ręki wyboru najprzewrotniejszych książek. Zaznajomisz go z najlepszem towarzystwem wszystkich okresów historji, pozna najmędrszych, najdowcipniejszych, najdzielniejszych, najtkliwszych i najczystszych ludzi, którzy kiedykolwiek przynosili zaszczyt ludzkości. Dasz mu prawo obywatelstwa we wszystkich krajach, uczynisz go współczesnym wszystkich pokoleń. Świat stanie się jego własnością.“ *John Herschel*

(Fot. Manuel — Paryż)

Teatry

WARSZAWA *Lipiec-sierpień 1925*



P. Marja Brydzińska święci nowe triumfy w komedji „Codziennie o piątej“

Podziwialiśmy niedawno panią Brydzińską w roli podlotka-skautki w komedji Grzymały Siedleckiego. Ileż było w niej uroku, wdzięku, młodości! Ten sam urok i wdzięk odnajdujemy w bohaterce komedji „Codziennie o piątej“ — pannie Ginecie, bardzo, bardzo dalekiej od sielskiej Wikty. Panna Gineta jest właścicielką baru o złej opinji. Pozatem ma kochanka i cudowną zdolność „wykłamania się“ z każdej sytuacji. Zła opinja baru nie jest w całości winą panny Ginety, która stanowczo zabroniła swemu barmanowi wszelkich kombinacji totalizatorskich. Barman nie posłuchał i panna Gineta wydala go. Zapóźno: policja wkracza do baru i zabiera dokumenty obecnych gości. Przy zwrocie ich następuje zamiana: młody poeta (ostatnia flama Ginety) otrzymuje legitymację pana dyrektora, pan dyrektor jest w posiadaniu dowodu osobistego poety. To drugie nie jest groźne, ale pierwsze ma fatalne następstwa: panna Gineta koloryzowała trochę mówiąc o sobie poecie. Dla pocieszenia go i ukrycia swoich drobnych grzeszków robi pana dyrektora swoim ojcem. Ten szybko orjentuje się w sytuacji i udaje przed przyszłym „zięciem“ skruchę, uroczyście oddając mu rękę „córki“. Ale poecie to nie wystarcza: chce zmusić wyrodnego ojca żeby adoptował Ginetę. Dowód osobisty pana dyrektora wskazuje mu adres. Pani dyrektorowa (którą z wdziękiem zagrała panna Gelówna) przyjmuje Ginetę z otwartemi rękoma ale... tu następuje takie powikłanie sytuacji, że trudno mi je streścić. Przyczynia się do niej i to, że pan dyrektor, jak zwykle w takich wypadkach, podszywał się pod nazwisko swego buchaltera (kapitalny pan Walter), na którym odtąd zaciąży zarzut uwodziciela i lamparta. Panna Gineta orjentuje się w swojem położeniu, i nadręczywszy „papę“ opuszcza „dom rodzicielski“, przez wdzięczność dla pani dyrektorowej nie zdradzając sprawek jej małżonka.

Prawda, że to wszystko brzmi trochę nieprawdopodobnie. Ale właśnie ten brak prawdopodobieństwa czyni tę komedję przemiłą sztuką. Zwłaszcza jeżeli Ginetą jest p. Brydzińska. Cudownie zepsuta i cyniczna, nie traci ani na chwilę wdzięku i czaru. Jest „gaminowata“ bez trywialności, wesoła i swobodna bez szarży, co nie jest łatwe w tego rodzaju rolach. Pan Lenczewski w roli dyrektora szarżował lekko, ale buchalter pana Waltera był niezrównany. To też codziennie o ósmej Teatr Narodowy (w którym obecnie gości Letni) zapełnia się tymi, którzy chcą na własne oczy zobaczyć Ginetę i usłyszeć z jej ust jak ślicznie kłamie, jak wdzięcznie się śmieje ta jedna z ulubienic Warszawy!

Komedja Verneuil'a „Fotel Nr. 47“ jest historją miłości chłopca, który od dziesięciu lat zajmuje zawsze ten sam fotel 47, żeby podziwiać talent znakomitej aktorki. Zły los chce, że właśnie gdy w nagrodę za stałość ma być wezwany przed oblicze ukochanej, woźny przez omyłkę sprowadza kogo innego, ten staje się kochankiem Gwiazdy.



Pani M. Modzelewska urocza Lulu w komedji „Fotel Nr. 47“

Gdy wreszcie Paweł zostaje jej przedstawiony, Gwiazda źle rozumie jego intencje i żeni go ze swoją córką ukochaną Lulu. Małżeństwo nie jest szczęśliwe i postanawia zdradzić się wzajemnie.

Ale do tego nie chce dopuścić matka i teściowa: dawszy „opiekuna“ córce sama bierze się do zięcia i — w czułej scenie, w której pocałunek mówi więcej niż słowa, bierze od niego przysięgę, że „nie opuści Lulu“.

Tę scenę zagrała pani Solska z prawdziwą maestrją.

Uroczą Lulu była pani Modzelewska, która z każdym dniem zyskuje sobie większe uznanie w stolicy.

Z. P.



POWRÓT KAIKIEM Z PRZEJAŻDŻKI PO BOSFORZE *(Malował St. Chlebowski)*

ROZMOWA Z TURKIEM O KOBIECIE

Wracałem z Aja Sofja tramwajem do hotelu Tokatlian, nad którym wisi sprawiedliwy gniew Allaha za te niesłychane zdzierstwa, jakich się tam na mnie dopuszczano. Ponieważ właścicielem hotelu jest Ormianin, inaczej odtąd patrzę na kwestję ormiańską w Turcji. Powiedziałem, że jechałem tramwajem. Muszę to raz jeszcze powtórzyć z pewną dumą, albowiem, bez niczyjej pomocy, wsiadłem do właściwego wozu, który miał mnie zawieźć z placu Sultan Ahmed na Grand'rue de Péra. Nie jest to rzeczą łatwą. Pierwsze wrażenie, które Europejczyk odnosi w Konstantynopolu jest ponurem wrażeniem zupełnego analfabeta. Nie umiem czytać! Nie mogę się orjentować według napisów ulic, nie potrafię odgadnąć, który z tych pokracznych wykrętasów na tramwajach oznacza błogosławioną dwunastkę. Muszę co chwila zaczepiać przechodniów i wyciągać z nich ociężałe informacje francuskie. Gdy więc samodzielnie wsiadłem do właściwego wozu, odczułem, że jestem szczęśliwy i uśmiechnąłem się do mego sąsiada, młodego oficera tureckiego.

O, jakież nieprzewidziane następstwa może mieć jeden przelotny uśmiech! Oficer uśmiechnął się również i prawie odrazu zaczął mówić. Mówił doskonale po francusku. Okazało się, że jest lekarzem wojskowym i medycynę studjował w Paryżu. Gdy mu powiedziałem, że jestem pisarzem, zaczął przedemną długą spowiedź patrjotyczną. Skarżył się na złą opinję, jaką ma Europa o Turcji. Polemizował z Le Bonem, który gdzieś napisał, że z przyjściem Turków nietylko upadła cywilizacja w podbitych krajach, lecz nawet roślinność osłabła i ziemię zaczęła zwolna pokrywać pustynia. Starałem się dać mu do zrozumienia, że mam wiele sympatji dla jego narodu i zupełnie odmienne zdanie w sprawach, które poruszał. Zmartwiłem go jednak, mówiąc, że dziś już wyjeżdżam. Okazywał taką ochotę zawarcia ze mną bliższej znajomości, że nie pozostało nam nic innego, jak wzajemnie obdzielić się naszemi adresami z tem melancholijnem westchnieniem, że może jeszcze... kiedyś...

Obaj nie wiedzieliśmy, że to nastąpi tak rychło. Albowiem w niespełna dwa miesiące później wracałem z Grecji tą samą drogą, przez Konstantynopol. Statek rumuński „Karol I", który jest najgorszym okrętem, jakim zdarzyło mi się odbywać dłuższą podróż — zatrzymał się w Galacie na całe dwie doby. W biurze, w Atenach, gdzie kupowałem bilet okrętowy, fałszywie mnie poinformowano, że nie potrzebuję wizy tureckiej, bo najpierw jest to zbyteczne ze względu na krótki postój, a powtóre, gdyby nawet wypadło stać dłużej, z łatwością otrzymam na pokładzie odpowiednią przepustkę, umożliwiającą mi wejście do miasta. Oczywiście, była to nieprawda. Pomimo, że miałem paszport w „porządku" i jako obywatel polski należałem do uprzywilejowanych, jechałem przecież z nienawistnej Grecji i musiałem ponosić część odpowiedzialności za niezgodę, jaka dzieli Turków i Greków.

Od rana lał deszcz bez przerwy. Niepodobna było siedzieć ani na pokładzie ani w fumoirach, gdzie wszystko było przesiąknięte wilgocią i zaduchem, idącym z portu. Pozatem, coza nuda tkwić na brudnym parowcu, gdy się ma przed sobą Konstantynopol, który za pierwszym pobytem poznałem jeno pobieżnie! Wdałem się więc w układy z urzędnikiem policji, który wkońcu zgodził się przesłać moją kartę na Skutari, pod adresem owego doktora wojskowego, spotkanego przypadkiem w tramwaju. Nie miałem nadziei, że zechce przyjść w taką psią pogodę. On jednak przyszedł, poszwargotał z policją, dał mi jakiś papierek, posypany literkami, podobnemi do okruchów tytoniu i za chwilę siedzieliśmy już w automobilu.

Po drodze dowiedziałem się, że dr. Bachnum Ari wiezie mnie do swojego wuja, którego tytułował ekscelencją, objaśniając, że był on wysokim dygnitarzem na dworze ostatniego sułtana. Jego funkcje były tego rodzaju, że trzymały go w ścisłym kontakcie z administracją haremu. Ekscelencja X. (nie umiem niestety podać jego nazwiska, które jest bardzo długie i niewątpliwie piękne) przyjął nas w jedwabnym, niezmiernie

wzorzystym szlafroku, a po pierwszych powitaniach, przeprosił mnie na chwilę i odszedł, aby się przebrać w długi czarny surdut. Mówił niewiele i tylko się uśmiechał swą szeroką, tłustą twarzą. Zawdzięczam mu doskonały obiad z szampanem, którego sam nie pił i bajeczne wprost oprowadzenie mnie po starym seraju. Pokazał mi również złoty medaljonik z minjaturą jednej z żon jego nieodżałowanego pana. Była to bardzo ładna Gruzinka.

Po wizycie u tej znakomitości, poszliśmy we dwóch, ja i mój oficer do kawiarni. Paliliśmy papierosy, pili kawę z fusami i i rozmawiali o kobiecie. Powiadam:

— Uderza mnie mała ilość kobiet, ubranych po turecku. Zdarzyło mi się widzieć jeszcze kilka w czarnych sukniach, ale zauważyłem, że kwef podnoszą i przypinają go nad włosami szpilką. Sądzę, że jest to forma przejściowa, zmierzająca do zupełnego zarzucenia tego stroju. Szarawary widziałem raz tylko i to nie tutaj, lecz w Atenach.

— Tak. Europejski strój przeważa. Jedynie u ludu można dziś jeszcze spotkać owe dawne typy, które dla nas samych są dziś już egzotyczne. Niedawno był bal maskowy, urządzony w jednym



POWRÓT Z PRZECHADZKI NAD BOSFOREM W MURY HAREMU
(Malował St. Chlebowski)

z wielkich salonów konstantynopolitańskich i kilka dam tureckich przebrało się *à l'ancienne*. Wyglądały bardzo efektownie.

— Jakie jest obecnie stanowisko społeczne kobiety tureckiej?

— O! bardzo wysokie. Otaczamy ją szacunkiem tak wielkim, jakbyśmy jej chcieli wynagrodzić wszystkie minione upokorzenia. Nie umiem panu powiedzieć, jak to się stało — musiały tu działać czynniki rozmaite — ale nagle nabrzmiała w nas świadomość, że im wolniejsze i bardziej rozwinięte będą nasze żony, tem dzielniejsze i tem mądrzejsze będą nasze dzieci. Wychowanie dziewcząt jest obecnie może większą naszą troską, niż wychowanie chłopców. Trzeba wiele odrobić, wiele złego, które sprawiła barbarzyńska i niegodziwa tradycja.

— Zdaje mi się jednak, że nie wszyscy jeszcze są tego zdania. Wuj pański...

— Zapewne. Chociaż mój wuj jest do pewnego stopnia wyjątkiem. Kwestja haremów jest z konieczności dla niego rzeczą drażliwą. Do sułtana był przywiązany całą duszą, ale ostatecznie, jako patrjota pogodził się z republiką i obecnie tak samo kocha naszego wielkiego Shari Mustafa Kemal Paszę. Uważa tylko, że Kemal Pasza powinien



SPACER WIELKIEJ DAMY TURECKIEJ *(Malował St. Chlebowski)*

być kalifem i mieć harem. Na równi z innymi ortodoksami widzi w jednożeństwie pewnego rodzaju herezję. Właśnie Kemal Pasza, który ubóstwia swą śliczną żonę, jest zapamiętałym szermierzem idei jednożeństwa. Podobno już od dwóch lat ma gotowy projekt ustawy, zabraniającej wielożeństwa, lecz narazie nie może się zdecydować, aby przyjść z tem do parlamentu.

— Boi się opozycji?

— Tak. Bo, chociaż zwyczaje coraz bardziej się odmieniają na korzyść jego poglądów, podobna ustawa byłaby krokiem nazbyt gwałtownym. Jedni zwalczaliby ją z punktu widzenia religijnego, inni, jako bolszewickie naruszenie prawa własności. U bardzo wielu mnogość żon jest dowodem zamożności, tak jak wille, jachty lub piękne meble. Ci, którzy tak myślą, boją się wszelkich ograniczeń, które mogłyby się rozciągnąć i na inne dziedziny posiadania. Oczywiście jest to śmieszne stanowisko. Kobieta nie jest dzisiaj niczyją własnością. Cały szereg ustaw przyznał jej pełne prawa i zrównał z mężczyzną.

— ...

— Bezwątpienia. Zwłaszcza powojenne zubożenie nie pozwala na utrzymywanie haremów. W wyższych sferach jest to znów niemodne i w złym tonie. Coprawda, pozbywanie się dawnych żon prowadzi do niesłychanych powikłań prawnych i sąd, mimowoli, musi ujmować się za niemi. Ustanawia się kwotę, jaką dany mąż musi wypłacić swej żonie, redukując rodzinę. Nie da się jednak zaprzeczyć, że w tym czasie przejściowym dzieje się wiele złego i sporo kobiet zostaje poprostu na bruku. Kemal Paszy zarzucają, że dla idei jednożeństwa nazbyt ujmuje się za mężami.

— ...

— Widzi pan, to również należy do tych plotek, jakie o nas kursują po Europie. Konstantynopol jest okrzyczany jako miasto zepsute, mimo że nie do pomyślenia jest tutaj wiele rzeczy z tych, które odbywają się np. w Paryżu, pod osłoną policji. Jak każde wielkie miasto, miasto międzynarodowe, o wiecznie zmiennej ludności, Konstantynopol wytworzył u siebie sporo domów podejrzanych, ale niech mi pan wierzy, że jest ich znacznie mniej niż gdzieindziej.

— Zdaje mi się, że doktór surowo osądza naszą moralność zachodnią?

— Nie będę przed panem tego ukrywał. Byłem we Francji i w Niemczech i wiem, co o tem sądzić. Kobieta zachodnia jest wyzywająca. Każdą, najskromniejszą modę potrafi tak wyzyskać, żeby podkreślić to, co może najbardziej oddziałać na zmysły. Jej zachowanie się na ulicy i w restauracji, w teatrze jest tego rodzaju, że najcnotliwszą waszą matronę wzięłoby u nas za damę z półświatka. Wspomniałem o teatrze. Teatr europejski, nawet ten, który mamy w Konstantynopolu,



będzie dla nas zawsze przedmiotem zgorszenia. Zbyt jawnie traktuje się tam rzeczy, które powinny zostać w ukryciu. Zawsze! powiedziałem zawsze! Tymczasem bardzo być może, że i to się zmieni. Cywilizacja europejska wraz ze wszystkiemi swojemi wadami jest poprostu nie do odparcia. Kto wie, czy wrychle nie nabierzemy przekonania, że osądzaliśmy tak te rzeczy dlatego, że byliśmy zacofani. Bóg raczy wiedzieć jednak, czy nie wypadnie nam tego żałować...

Ponieważ uczyniło się chłodno, wypiliśmy jeszcze po kieliszku koniaku. Turcy mają bardzo słabe głowy i koniak piją wolniutkiemi haustami, zagryzając cukrem. Przemiły dr. Bachnum Ari, w powrotnej drodze, opowiadał mi zgoła niesłychane facecje haremowe, które częścią znał od swego wuju, częścią zdobył własnem doświadczeniem. Na pożegnanie oznajmił mi jeszcze jedną bardzo ważną rzecz: — przepada za blondynkami. I ma wrażenie, iż smak jego podzielają wszyscy rodacy. Albowiem Turcy, podobnie jak wiele innych narodów, wyobrażają sobie anioła w postaci jasnowłosej, niebieskookiej dziewczyny.

Jan Parandowski

NOWE HORYZONTY

W paryskich księgarniach pojawiła się książka pana Delysle p. t.: *„La travailleuse“*, omawiająca wciąż aktualną kwestję kobiecą.

Studjum to, nader obszerne, wyczerpujące i sumienne, traktuje o zawodach, rzemiosłach i zajęciach kobiecych, obfitując w liczby, notatki, cytaty i wykazy statystyczne, a jakkolwiek nie olśniewa ani nowością, ani oryginalnością, ani świetną dialektyką — książka ta jednak ujmuje czytelnika prostotą, szczerością i dobrą wolą.

Autor wprost zachęca do współmyślenia i współdziałania w tak ważnej społecznej kwestji i dąży do rozstrzygnięcia jej nie tylko zapomocą suchego, teoretycznego rozumowania, lecz także na podstawie praktycznych doświadczeń.

Sam tytuł *„La travailleuse“* — pracownica — wystarcza, by się domyśleć, w jakim duchu kwestja ma być rozstrzygniętą, wymieniamy tytuły poszczególnych rozdziałów:

— Pracownica fabryczna — Urzędniczka — Kobieta i wolne zawody. — Wpływ konkurencji kobiecej na stosunki ekonomiczne — Zarys nowej moralności kobiecej.

Autor wypowiada się mniej więcej w ten sposób:

„Nie wiem, czy praca kobiet jest dodatnim, czy ujemnym czynnikiem w społeczeństwie — o tem rozstrzygnie przyszłość; ale praca ta, będąc koniecznością (wcale niepożądaną), jest jednak faktem, z którym musimy się pogodzić zarówno jak ze wszystkiemi za nim idącemi konsekwencjami“. Najważniejszą z tych konsekwencyj byłoby to, co autor nazywa rewolucją obyczajową, która jest nietyle przyczyną ile skutkiem rewolucji ekonomicznej, wywołanej wystąpieniem kobiety na arenie pracy zawodowej.

Co autor rozumie przez rewolucję obyczajową, poznamy, śledząc dalsze jego wywody:

Od najdawniejszych czasów kobieta z natury rzeczy szukała kochającej opieki męża, ochotnie podejmując trudy i starania gospodarstwa.

Ale mężczyzna odsunął od swego ogniska „ubogą dziewczynę“, a uboga dziewczyna, nie chcąca się sprzedać, ani zginąć z głodu — spróbowała żyć poza domowem ogniskiem i bez pomocy mężczyzny.

Zarabiała naprzód na swe utrzymanie pracami, które już dawniej przez społeczność jako kobiece były uznane; wkrótce jednak zagarnęła także pole działalności męskiej. Włożyła całą dumę, energję i wysiłek w walkę o niezależność materjalną, a spostrzegła równocześnie, że zdobyła coś więcej jeszcze nad chleb codzienny, ubranie i mieszkanie — że znalazła to, czego nie szukała, t. j. niezależność moralną, prawo myślenia, mówienia, działania i kochania, jak jej się podoba — to prawo, które przysługiwało zawsze tylko mężczyźnie, a z pod którego zawsze była wyjętą.

Ale i mężczyzna spostrzegł, że takie dążności kobiety są niebezpieczne dla ustalonego porządku i równowagi społecznej, dla obyczajów, dla religji. Po niewczasie! Jeśli niewszystkie jeszcze pracownice się wyzwoliły — to w każdym razie dążą do tego.

Buntują się przeciw prawom, przez mężczyzn ustanowionym, przeciw przesądom i przestarzałym ideałom, które im narzucono.

Kobiety zerwały przędzę przez prababki snutą, słabą i wątłą napozór, a tak boleśnie krępującą dusze, ku wolności się wyrywające — porzuciły kądziel, igłę i lustro — owe symbole cnót biernych i próżności. Porzuciły również mniemanie, że kobieta uczciwa musi być koniecznie seksualnie kobietą czystą.

I tak oto zarysowuje się nowa moralność kobieca, w zasadzie niezbyt odbiegająca od moralności mężczyzn.

Kobieta, którą chrześcijaństwo urobiło stopniowo na istotę tchnącą rezygnacją i poświęceniem, dziś uważa się za wyzyskaną. — Modlitwa jej nie pociesza, bo Bóg milczy — mężczyzna nie chce jej żywić, ani utrzymywać — musi więc iść drogą życia o własnych siłach — a ponieważ praca ją wyzwoliła, więc słusznie rości sobie pretensje do przywilejów tego wyzwolenia.

Warunki kontraktu małżeńskiego przybiorą dziś odmienną formę, dlatego, że kobieta może się obyć bez pomocy mężczyzny i potrafi sama wychować swoje dzieci — a nie będąc zależną od opieki męża, nie potrzebuje przysięgać sakramentalnego posłuszeństwa. — Zaś mężczyzna w stosunku do kobiety musi ją uznać za równą sobie — co więcej — za towarzyszkę i przyjaciółkę.

Tak unormowany związek polegać będzie przedewszystkiem na wzajemności uczuć, na coraz odnawiającej się wymianie myśli i pragnień, na zachowaniu dobrowolnem i niewymuszonem wierności, na doskonałej szczerości, wypływającej z szacunku i zaufania.

Ziści się wówczas marzenie o wolnej miłości, uświęconej związkiem małżeńskim w odmiennej niż dotychczas, mniej surowej formie: mężczyzna i kobieta, wolni od zdawkowej hipokryzji, przyznają sobie wzajemnie prawo rozporządzania swą egzystencją według upodobania, z pełną odpowiedzialnością za swoje postępowanie; — stosunek ich ułoży się w duchu prostoty, szczerości, wzajemnego zrozumienia i pobłażania. — Czy taka ewolucja obyczajowa może się nazwać rozpustą? ubliżeniem czci kobiecej? — Przenigdy!

Niechaj kobieta zna swą wartość — wielkość i ważność daru swej miłości wraz z wynikającemi stąd skutkami, a zdrowa na ciele i duszy, stanie się czystą i wyższą nad wszelką pokusę. — Błąd popełniony niechaj nie będzie jej zgubą ani kulą u nogi na całe życie — nikt nie powinien jej potępiać, ani odmawiać jej prawa i nadziei do pozyskania szacunku i przywiązania uczciwego człowieka.

A więc rewolucja obyczajowa? Ależ ona się już dokonywa codziennie! Ileż-to już przesądów obalonych! ileż związków małżeńskich, w których żona jest towarzyszką i współpracownicą męża, jego powiernicą, współdziałającą w dążnościach i zamierzeniach.

Niemasz na całym świecie kobiet nad nasze Francuzki, zdolnych dokonać tak żywiołowego przewrotu i spełnić tak wzniosłe zadanie“... woła autor w patrjotycznem uniesieniu.

Wiadomo, jak gorąco Francuzi miłują swoją piękną, chwałą okrytą ojczyznę — jak wysoko cenią wszystko co swoje!

U nas inaczej: wszystko, co polskie, podpada ostrej krytyce, bywa niemiłosiernie wyszydzane i ośmieszane.

Dostało się i kobietom w ostatnich czasach — może poniekąd zasłużenie... To jednak nie powinno gasić ducha i wiary w rehabilitację na przyszłość.

Czyż Polki — tak żywo myślące i czujące — nie potrafią wznieść się na wyżyny ideału?

Nasza żeńska młodzież ostatniego pokolenia przedstawia się pod względem fizycznym i umysłowym nader sympatycznie.

Nasze maturzystki, 18-letnie panienki, różnią się przedewszystkiem zasadniczo od owej osławionej, wykrygowanej i wymalowanej „Mrówci“, otłukującej w takt z „Tuptusiem“ bruki uliczne.

Różnica ta wynika przedewszystkiem ze starego jak świat podziału kobiet na dwa typy: pracownice i rozpustnice; pogłębiły ją i wyolbrzymiły fatalne stosunki powojenne, kopiąc nieprzebytą przepaść między temi, które biorą życie na serjo i sposobią się ku temu pracą, a temi, którym w głowie jedynie zabawa, flirt, czy nawet romans i „hupa—hupa“.

W ostatnich jednak latach zatrute tchnienie wojny słabnie; młodzież nasza, ta najmłodsza, ta na ławach szkolnych siedząca, i ta, która w obliczu matury staje, już zaczyna ton właściwy nadawać społeczeństwu i swojem całem postępowaniem wlewać w nasze serca otuchę i nadzieję lepszej przyszłości.

Ożywione najlepszym duchem, dzielne nasze dziewczątka garną się z zapałem, z gorącą ochotą do pracy samodzielnej— nie tylko „dla chleba“, ale dla coraz wyższego wznoszenia się po stopniach rozwoju intelektualnego.

A pole pracy obszerne, nieprzejrzane i podwoje uniwersytetu stają otworem w zupełności — bo i wydział prawniczy jest dla kobiet dostępny; tak samo politechnika (w Warszawie i we Lwowie) z laboratorjami chemicznemi i grupami nauk pomocniczych — pozatem akademje handlowe, szkoła gospodarstwa w Snopkowie; dla utalentowanych Szkoła sztuk pięknych w Krakowie i Akademja w Warszawie.

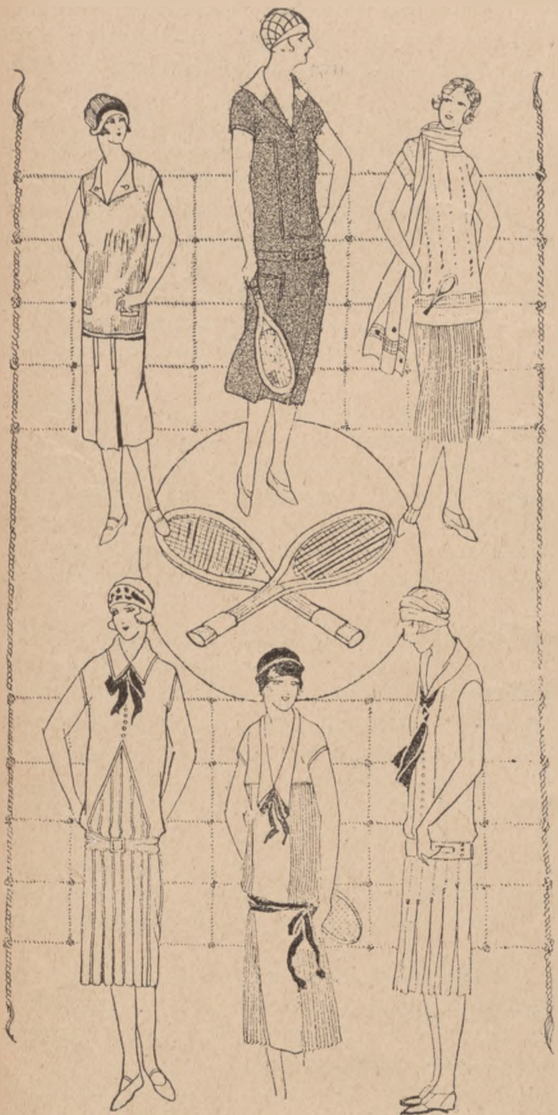
Więc praca twarda, wyczerpująca, ale w perspektywie zwycięstwo i triumf „dobrej sprawy“ dla najmłodszych naszych pracownic, których zadaniem jest sobie i całemu społeczeństwu wykazać swą wartość, oraz prawo posiadania i używania przywilejów, zdobytych z takim trudem przez szereg poprzedniczek starszego pokolenia.

Na tej niezawsze różami usłanej drodze towarzyszy im uznanie i życzliwość tych, którzy potrafią ocenić ich rzetelny wysiłek i szlachetną dążność ku ideałom.

Per aspera ad astra!

R. K.

POCHWAŁA I KRYTYKA SPORTU



Dzisiejsza kobieta jest głęboko sportowa. Jest sportowa zdecydowanie, odważnie, energicznie.

Artyści, filozofowie, mędrcy, poeci szukali długo i chciwie tajemnej przyczyny tego zapału, tej frenetycznej ewolucji?

Poszukiwanie wdzięku nowego, synteza eurytmji nowożytnej? Wykwit nagły feminizmu czynnego, przygotowanie do wojny, kryzys „amazonitu“ ostrego?

Bynajmniej. Nie ujrzymy już nigdy tych czasów bohaterskich, kiedy kobiety, poświęcając się Marsowi, ucinały sobie pierś lewą, by móc lepiej strzelać z łuku. Jeżeli kobiety oddają się sportowi, to jedynie dlatego, że chcą przez swobodne ćwiczenia swych muskułów, dojść do tej smukłości, tego wyszczuplenia, tę suchość heroiczną, stanowiące niezawodne cechy, markę najwyższą elegancji wrodzonej i mody dzisiejszej.

Być chudą! chudą! Pozatem niema zbawienia! Linja, zawsze ta linja! Genjusz zawsze jest chudy, miłość zdyszana, namiętność przeźroczysta! A jedynie sport może dać te muskuły na kościach, obciągniętych skórą, bez tłuszczu, tę sylwetkę dramatyczną, która zostawia krepie chińskiej całą jej piękność czystą, a muślinowi drukowanemu jego grację patetyczną... Ta dyspozycja konturów złagodzonych, ten sabotaż wdzięków i tłuszczów, to heblowanie zaokrągleń — czyż to nie przedstawia pewnych niebezpieczeństw? Pisarz francuski *G. de la Fouchardière*, porównując niedawno piękność kobiet do królewskiego przepychu krajobrazów, martwił się bardzo ciosami, zadawanemi ich urokowi.

Skutkiem nadużycia sportu piękne, pełne wdzięku drzewo jest haniebne i boleśnie poobcinane. Włosy krótkie pozbawiają kobietę jednej z odznak pełni rozkwitu. Jeden uczony szwajcarski wynalazł sposób pozbawienia kobiety jej słynnego *odor di femina!* A poobcinane drzewo traci zapach swego ulistnienia...

Pozostaje suchy pień, nędzny szkielet, tam gdzie drzewa rozwijały swe bujne konary, pełne szeptów i zapachów...

Czyż trzeba tak się obawiać złych skutków sportu? A jak wyglądałby nasz podziw pobożny wobec redukcji estetycznej, dochodzącej do negacji... Zapewne, że powłoka materjalna nie jest wszystkiem, dusze zachowują swą tajemnicę, a serce uczucia nawet w akcie przeraźliwie chudym. Zacytuję tu znowu pisarza francuskiego *L. Bouilhet*'a:

„Cóż znaczy twa pierś chuda, o me ukochanie!
Wszak jestem bliżej serca na twem płaskiem łonie.
I widzę, jakby ptaszka, co w klatce ma mieszkanie,
Miłość, na jednej łapce, pomiędzy żebrami!“



Nie myślę jednakże, by te granice złowrogie tak prędko były do osiągnięcia. Jesteśmy zbyt dobrze zrównoważeni, by wpaść w te ekscesa schematyczne. Znowu jeden pisarz francuski, Marsan, przypomniał niedawno słynne gloryfikacje kobiet tłuściutkich, o których opowiadają autorowie klasyczni, będący ich gorącymi entuzjastami. *Ronsard* opisywał „brzuch jak lustro zaokrąglony, cały tłuściutki, wystający, mięciutki“, a *Barrès* sławi Junonę tłustą i ciężką jest prawdziwą piękność. Jest to fakt niezaprzeczalny: przodkowie nasi lubowali się we wdziękach rozkwitłych i kontury krąglutkie. Z wyjątkiem paradoksalnego wieku ośmnastego, wszystkie epoki sławią tłustą białogłowę. Ale jakże prędko miały zniknąć te piękności znane! I jak zachwyt, wdzięki, obfitość kształtów miały się prędko stać ciężarem, otyłością, upadkiem! Bo kobieta dawniejsza uciekała od hygieny i sportu przeklinając je. Jeżeli zrobimy wyjątek dla konnej jazdy i tańca, czyż były jakie wysiłki muskułów, któreby faworyzowały te wdzięki poetyczne i podtrzymywały trwanie młodości? Życie zacnej Pani przy dworze było jedynie intrygą, strojeniem się, miłością i łakomstwem. A my, w demokratycznych czasach dzisiejszych, wolimy ruch na świeżem powietrzu, *footing*, tennis, golf, rozwiązywanie krzyżówek, flirt i *régime* prawie że głodowe?

Sport jest czystym kultem wdzięku inteligentnego i zdrowego.

Ada

REZULTATY NASZEJ ANKIETY

LISTY OD ŻON OFICERÓW POLSKICH W SPRAWIE UBIORÓW I ZGODY BUDŻETU Z WYMAGANIAMI MODY I PENSJĄ OFICERSKĄ

Szanownym moim Korespondentkom winnam serdeczne podziękowanie za listy nadesłane.

Nie mogliśmy wszystkich ani żadnego niemal dać w całości, chociaż wszystkie na to zasługiwały, bo określona ilość miejsca w piśmie, musiała wolą naszą kierować i nieco ją krępować.

Nie mniej nawet w tej formie, w której tylko zasadnicze łowiliśmy postulaty, są one niezmiernie zajmujące.

A co więcej, są świadectwem poważnego traktowania życia przez cały szereg młodych kobiet, stojących u boku polskiego Żołnierza.

Wyznaję, że ze wzruszeniem przerzucałam te karty, na których widziałam tyle drgnień szlachetnych młodych dusz.

Więcej troski o męża niż o siebie. Więcej chęci przypodobania się jemu, niż komukolwiek.

Więcej ambicji ze stanowiska, niż z fatałaszek. Ochota pracy, nauczenia się czegoś. Trochę tęsknoty za możliwością rozszerzenia skali intelektualnych zdobyczy. Wielka wreszcie sprawa tak zwanego „systemu oszczędności", która podnoszona przez młode kobiety, nabiera ogromnego znaczenia.

Te nasze młode Korespondentki, które „oburza" sama myśl zagrożonej rodziny, które rozumieją, że dzieci, to przyszłość narodu, że dom polski nie może iść za modnymi hasłami „bezdzietności", to naprawdę godne szacunku i czci polskie kobiety, których na szczęście w naszym społeczeństwie jeszcze jest wiele.

Mimo różnicy wieku, godzę się najzupełniej na wszystkie, wygłoszone zdania moich drogich Korespondentek w sprawie stroju. Do końca życia kobieta musi starać się być miłą dla oka. Na szczęście ani uniwersytety, ani zawodowa praca, ani wysokie stanowiska nie odjęły nam nic z tego, co jest przynależnością natury kobiecej.

Proszę zobaczyć nasze posłanki, naszą senatorkę, jak są zawsze ładnie ubrane. Ładnie, bo odpowiednio. I to właśnie może największa tajemnica stroju kobiecego.

W miarę jak się kształcimy, w miarę jak się wyrabiamy duchowo, sądzę że dojdziemy snadnie do poczucia odpowiedniego zawsze stroju do danych warunków i wtedy wszystkie kobiety będą zawsze ubrane pięknie.

Piękno to, potrafią roztoczyć dokoła siebie we wszystkich sprawach życia, takie dusze, jakie wyglądają z listów nam przysłanych.

„Świat Kobiecy" może być dumny ze swych Czytelniczek.

Ja, raz jeszcze dziękuję moim kochanym i szanownym Korespondentkom za tę pewność, że u boku umiłowanego przez nas Żołnierza polskiego stoją kobiety, które zapewniają im otuchę w pracy, osłodę i pomoc w życiu i rozumne wychowanie dzieci.

Czystość ich dusz, moc charakterów, umiłowanie rodzinnego życia i domu — to podwaliny zdrowego społeczeństwa, które musi mieć Polska.

L. Kotarbińska.

* *

Redakcja „Swiata Kobiecego" po porozumieniu się z inicjatorką ankiety, p. L. Kotarbińską, jedną z odpowiedzi drukuje w całości, gdyż treść jej, ujęta w osobny artykuł zasadniczy, porusza istotnie w sposób wszechstronny zagadnienia poruszone w ankiecie. Odpowiedź tę, podpisaną przez p. J. K., wdowę po pułkowniku, znajdą nasze Czytelniczki w niniejszym numerze, jako pracę poza konkursem.

Po rozpatrzeniu całego bogatego i pięknego materjału, uznaliśmy za najgodniejsze odznaczenia w równej mierze listy pp.:

JANINY W. żony oficera.

IRENY M. z Kamionki Strumiłowej.

Obu odznaczonym paniom przysługuje prawo wyboru książek według katalogu za cenę dwudziestu złotych. P. Józefy K. honorarjum za artykuł wynosi trzydzieście złotych. Prócz tego autorka dostanie od Redakcji piękny upominek w postaci książki. Wszystkie trzy panie proszone są o nadesłanie adresów. *Redakcja.*

PIERWSZA NAGRODA

Skwapliwie chwytam za pióro w sprawie, które nasze kochane, pożyteczne i niezastąpione pismo „Świat Kobiecy" poruszyło. Zaiste białym krukiem będzie ta rodzina oficerska, która bez deficytu zamknie roczniki miesięczne. I, genjalną ta żona oficera, która potrafi pokryć wszystkie najkonieczniejsze wydatki, oczywiście z uwzględnieniem pewnych kulturalnych potrzeb.

Mąż mój jest kapitanem. Mamy jedno dziecko (system oszczędnościowy), mieszkamy na prowincji. Służącej nie posiadamy. Wymagania mamy skromne. Byle parę książek, czasopism, raz na miesiąc wyjazd do najbliższego miasta i raz na miesiąc zebranie kółka znajomych u siebie. Pensja 369 złp. Od tego odchodzi na fundusz emerytalny, podatek, wierzytelności skarbowe, ognisko, samopomoc, składki doraźne: 56 złp., zostaje mi 313 złp. na utrzymanie, pranie, odzienie dla nas trojga, składki, wydatki z powodu szkód i t. p., proszę to obliczyć: Co nam może dopomódz?

Umiejętność szycia, kroju, modniarstwa i robót ręcznych. Oczywiście nauka musi być tania, przystępna dla wszystkich. Ani na pełne życie, połączone z potrzebami intelektualnemi, ani na towarzyskie, nie mamy. Wytwarza się jałowizna ducha, zabójcza dla każdego. Żyjemy nadzieją, że kiedyś (ale kiedy?) będzie lepiej. Że oficer polski znajdzie zaspokojenie swych wymagań, że spłaci długi gnębiące spokój, a żona jego nie dźwigając na swych barkach uciążliwego trudu „wiązania końca z końcem" odda się całą duszą gromadce swoich dzieci(bo skończy się wtedy system oszczędnościowy), kształcąc je w cnotach obywatelskich i przygotowując do „służby dla Ojczyzny". *Irena M.* z Kamionki Strumiłowej.

DRUGA NAGRODA

Kobieta, mojem zdaniem, musi być zawsze porządnie i elegancko ubrana. Musi w domu stworzyć pogodny, słodki, estetyczny nastrój, w przeciwstawieństwie z tem, z czem styka się z obowiązku. Musi godnie reprezentować nasz stan oficerski.

Nie narzekam na swój los. Zresztą wszystkie my, żony oficerów, mamy to w sobie, że choćby najgorzej było, żadna z nas nigdy nie będzie się użalała, wzdychała, rozpaczała. Mamy żołnierską dumę pod tym względem. Wszystkie godzimy się z tem, co jest. Ale mnie oburza co innego. Oto coraz częściej słyszy się głosy młodych małżeństw: „My nie możemy sobie pozwolić na dziecko, bo z czego je utrzymamy"? Oburzam się, a jednocześnie zapytuję: co dalej? co dalej?

Bo gaża porucznika wynosi od 170 do 190 złp. po potrąceniach. Na życie wydaje się 120 złp., mieszkanie na prowincji od 15 do 35 złp., a światło, wydatki drobne i nieprzewidziane. Mimo to, aby zmuszać męża do zapożyczania się na stroje, może się chyba zdobyć istota bardzo próżna i pusta. *Janina W.*, żona oficera.

NASTĘPUJĄCA ODPOWIEDŹ ZASŁUGUJE JESZCZE NA WYRÓŻNIENIE

Z Brzeżan: Młoda i stara, piękna i brzydka, każda słowem kobieta, według Gabrjeli Zapolskiej, powinna być „pod bronią", to znaczy niezmarnować nic z tego, co dała natura i pokryć braki, których natura — odmówiła.

O wszystkie wdzięki moralne i fizyczne musimy dbać, a jednym z wdzięków jest — ubranie.

Według mnie, nie znaczy to hołdować modzie bezwzględnie. Ale, umieć estetycznie skombinować miłą dla oka całość.

Spryt, pomysłowość i praktyczność zawołać do usług. Kupować rzeczy dobre, przerabiać, nicować, prać, farbować.

Wiedzieć, koniecznie wiedzieć dokładnie, ile mąż zarabia i być sumienną administratorką powierzonych przez niego zarobków. Wtedy deficyt wykluczony. A rąk nie żałować. Gliceryna je wygładzi.

Lola, żona porucznika W. P.

O MOJEM OSZCZĘDNEM GOSPODARSTWIE I SZCZĘŚLIWEM ŻYCIU

ODPOWIEDŹ POZA KONKURSEM NA NASZĄ ANKIETĘ

Jako żona wojskowego, przez cały szereg lat, bo od rangi porucznika do rangi kapitana i pułkownika, żyłam ciągle z myślą pogodzenia tych dwóch sprzeczności (napozór), jak elegancja i niezaniedbywanie się — z małemi środkami pieniężnemi, zabieram i ja głos w poruszonej kwestji.

Wy, szanowne żony młodych oficerów naszej młodej armji, szczęśliwsze jesteście, szczytniejsze zajmujecie stanowiska, niż my byłyśmy kiedykolwiek. Wasi mężowie stoją na straży spokoju i całości granic ukochanej Polski, nasi mężowie musieli iść służyć obcej sprawie.

Położenie ich było ciężkie, praca olbrzymia, w której zużywały się energja i siły, pod naporem obcych wpływów i nakazów, słabnął duch i opadały ręce. Wtedy to zaczynała się czynna praca „granicznej straży" żon oficerów Polaków nad podtrzymywaniem ducha, siły i imienia Polaka, dodawały otuchy, otaczały zdwojoną pracą, czuwały nad czystością języka i religji, kojarzyłyśmy w koło siebie element polski, zacieśniały stosunki z rodziną i krajem, broniły siebie, mężów i dzieci od obcego a wrogiego nam zalewu. Ale wracam do celu.

Na pierwsze pytanie twierdzę stanowczo, że każda kobieta — żona czy to wojskowego czy urzędnika powinna być największą ozdobą swego otoczenia, nadawać mu niejako ton; nie powinna być nigdy zaniedbana, opuszczona, brudna, być zawsze „pod bronią", jak mówił mój mąż, który lubił i cenił w żonie, jak zresztą wszyscy mężczyźni, ubranie do twarzy, elegancję bez przesady i wdzięk postaci nadany dobrą formą sukni. Czy może smakować np. najlepszy obiad, gdy naprzeciw męża siedzi w brudnym szlafroku rozczochrana pani, poplamiony obrus na stole i również brudna, gburowata służąca kręci się nieumiejętnie i z hałasem? A więc największą ozdobą, najpierwszym obowiązkiem jest czystość, porządek i ład domowy, a wszystko to spoczywa w ręku kobiety.

Wszedłszy w dom męża, przejęta trudnością i wielkością mego zadania, przedewszystkiem skłoniłam Go do podzielenia Jego dochodów na kilka niezbędnych rubryk i tak: Mieszkanie, utrzymanie, ubranie i przyjemności i nadszarpnięcie jednych zasobów na korzyść drugich surowo sobie wzbroniłam.

Żeby sprostać wielkiemu zadaniu utrzymania rodziny z małemi środkami jaką jest pensja oficera potrzeba drogie moje panie pracować, pracować w całem słowa tego znaczeniu, pracować ustawicznie, głową, myślą i rękami.

Nauczyłam się więc pracować, opowiem więc czynności dnia całego. Ponieważ przedewszystkiem czystość jest najniezbędniejszą w mieszkaniu, więc po wyprawieniu męża, najpierw zrana ze ścierką i szczotką, osłonięta cała fartuszkiem z rękawami w czepeczku kokieteryjnym ale okrywającym włosy od kurzu, sprzątałam całe mieszkanie już po uprzątnięciu go przez służącą lub ordynansa, zaglądając w każdy kącik, okurzając i nadając ostatni „sztrych". Dużo czasu poświęcałam pielęgnowaniu roślin doniczkowych, bo ich cudna zieleń i kwiaty tworzą najidealniejszą ozdobę mieszkania i są tłem dla innych ozdób z których własnoręczne kobiece robótki trzymają prym a tak mile nęcą oko i estetyczny gust człowieka więc: barwna makata na ścianie, bukiet malowany na szkle, kwiat wzorzyście haftowany na pufie i dywaniku, ramki misterne na biureczku, firanki pajęcze u okien, wszystko razem tworzy całość harmonijną a zrobione własnoręcznie mniej kosztuje, niż kupowane w drogich magazynach. Pielęgnowania roślin nauczyłam się z podręczników, które pilnie studjowałam z początku, a z czasem doświadczenie zastąpiło książkę i takim kosztem bo przeważnie własną pracą nadałam miły wygląd moim pokoikom.

W wielu innych mieszkaniach spotykałam też wiele kwiatów, ale kupowane w oranżerjach a pielęgnowane nieumiejętnie lub bez zamiłowania prędko nędzniały, a zastępowane nowo nabytymi tworzyły poważną cyfrę w wydatkach domowych, które ja zawsze zapisywałam, po miesięcznym więc obrachunku mogłam oznaczyć, w czem mianowicie powinnam się oszczędzać.

Po skończonym porządku w mieszkaniu przenosiłam swą czynność do kuchni, która musiała już być starannie uprzątnięta po śniadaniu, tutaj dodam nawiasem, że i o czystość w kuchni, o wygody służącej dbałam również i o ile nie było oddzielnej sypialni dla niej, część kuchni była oddzielona parawanem, lub ciężką zasłoną, za którą stało łóżko, szafka na rzeczy i wisiało małe lusterko. W kuchni okno osłonięte firanką, szafka na naczynie, druga na schowanie rozmaitych potrzebnych zapasów, lampa wisząca wysoko i wisząca umywalka, przy niej zawsze ręcznik, żeby w każdej chwili można było wymyć ręce. Półka z garnkami osłonięta starannie barwną firanką.

Gotowanie obiadu było z początku strasznie trudną rzeczą, znowu więc książka kucharska musiała mi pomagać, o ile nie miałam dobrej kucharki od której sama pilnie się uczyłam, a że przy dobrych chęciach nic w tem niema trudnego, więc po paru latach tak się wydoskonaliłam że nie bałam się nawet wykwintnych dań i obiadów w dniach uroczystych a przedewszystkiem nie dałam się wyzyskiwać służącej i niejedną później wykierowałam na umiejętną kucharkę. W zakupach wiktuałów odrzuciłam stanowczo raz na zawsze branie „na książkę" „na raty" „na kredyt", kupowałam zawsze sama w ilości większej, przekonałam się że zyskiwałam na wadze i dobroci wiktuałów i uniknęłam posyłania służącej po brakujące do obiadu dodatki. Jeżeli brakło mi czego w końcu miesiąca nie ratowałam się nigdy kredytem a zastępowałam brak czem innem, bo inteligentny człowiek w swoje najbłahsze nawet czynności wnosi inicjatywę. Przyrządzając obiad miałam zawsze w zapasie i talerz zupy i pieczyste czy inne danie na przypadek, gdy mąż przyprowadzi jakiego kolegę lub dwóch, nie było więc zamieszania „dorabiania" posyłania po porcję i obiad podawany był we właściwym czasie. Prócz tego starałam się mieć w spiżarni domowe zakąski zimne po wódce, nie posyłałam więc po nie i nie płaciłam w dwójnasób w sklepie.

W razie zaś, gdy gość żaden nie przyszedł, kotlety wynosiłam na zimno i albo służyły na kolację albo do śniadania dla męża, bo pilnowałam, by wychodził zawsze na służbę po pożywnym śniadaniu. Ukończywszy obiad na punktualnie oznaczoną godzinę, dopilnowawszy by stół był nakryty wzorowo czysto, ozdobiwszy go albo kwitnącym kwiatem z własnej domowej oranżerji lub kupioną za kilka groszy wiązanką, w tajni sypialnego pokoju przeistaczałam się z czystej gosposi w elegancką panią domu.

Jasna gustowna suknia lub chociażby jasna bluzka do twarzy albo na ciemnej domowej sukience biały koronkowy kołnierz, nadawały wygląd elegancki. Godzinkę, czy pół poświęcałam muzyce czy książce lub gazecie i gdy mąż wracał, już w przedpokoju wołał: „Moja pani pod bronią, waza jedzie na stół bom wściekle głodny" i porywając mnie w swoje silne ramiona unosił aż pod sufit trzepoczącą się jak ryba w siatce, zażenowaną jeśli to było przy którym z kolegów. Obiad przechodził spokojnie, służąca wiedziała naprzód co i jak podać, ubrana zawsze schludnie i czysto.

Po obiedzie, gdy mąż przed wyjściem na służbę drzemkę odprawiał zasiadałam zwykle do szycia, to na maszynie to w ręku, bieliznę wszystką sama szyłam, nawet wykwintną z koronkami i wstaweczkami, by łóżka były zawsze elegancko posłane, a że raz uszyta bielizna wystarczała na lata całe, więc sparzywszy się parę razy na drogo zapłaconej robocie sukni u krawcowej zabrałam się do nauki krawiectwa, szło mi z początku trudno, nie zawsze udawała mi się robota ale próby robiłam na przerabianiu starych na nowe, lub na bardzo tanim materjale, prócz tego zaprenumerowałam sobie pismo dla kobiet, by mieć wzory i formy i szło mi coraz lepiej a po paru latach (bez żadnych kursów specjalnych) umiałam zrobić najpiękniejszą toaletę lub kostjum, nie doszedłszy jednak do tej wprawy, żeby zrobić futro lub jesienny gruby kostjum, z takim materjałem nie mogłam sobie nigdy poradzić i zostawiłam to specjalistom.

Ubierałam się skromnie (chociaż uważano mnie za modnisię) wełniane suknie zawsze ciemne i materjał w dobrym gatunku bo i trwalszy i ładniej się układa, ciemne dlatego że mniej się opatrzą noszą się dłużej i dają się łatwiej przerobić na inny fason. Za to na wiosnę i lato pozwolałam sobie być zawsze ubrana biało, sukien dużo nie miałam, nosiłam zrobione, aż do zniszczenia. W lecie na codzień, tak na ulicę jak w domu nosiłam białe pikowe, łatwe do prania, na święto i na większe uroczystości z surowego jedwabiu, który pierze się jak płótno i czem więcej prany, tem ładniejszy a zawsze wygląda bardzo elegancko, kapelusze też sama sobie fabrykowałam, mogłam więc mieć zawsze odpowiednie do sukni. Toalety moje nigdy nie były przeciążone ozdobami, trochę koronki lub wstawki. Moje znajome, żony oficerów posądziły mnie że rujnuję mego męża strojami, ale gdy zastawały mnie przy robocie sukni, której szyk podziwiały lub kapelusza, który chciały również obstalować, zmieniły zdanie i chodziły do mnie po radę, pomoc w uszyciu sobie samej sukni. Pomagałam i radziłam chętnie i koło życzliwych mi ludzi powiększało się ciągle. Nieraz na zebraniach i balach oficerskich moje skromne toalety wyróżniały się dobrym gustem i tym wrodzonym Polkom szczególnym szykiem, między toaletami daleko droższemi, lecz przeciążonemi rozmaitemi ozdobami.

Przed wielkim balem lub redutą mieszkanko nasze przeistaczało się w istną szwalnię, szyłyśmy razem, radziły, pomagały sobie a często i mężowie nasi przyłączali się do nas pomagając nam rysować wzory lub sylwetki zamierzonych toalet. Ileż to wtedy było śmiechu, żartów i humoru i zadowolenia mężów, że toaleta kochanej żony nie zaciąży długiem na jego sumieniu. Tylko pierwsze kroki są trudne ale silna wola i dobra chęć potrafią przezwyciężyć wszelkie przeszkody, przekonałam się o tem raz jeszcze: Bieliznę zawsze kazałam prać w domu bo i taniej i mniej się niszczy, nie używa się bowiem żadnych szkodliwych dodatków. Prasowanie jednak męskich koszul, kołnierzyków i mankietów męża oddawałam do prasowania, gdy jednak rachunki za nie wydały mi się zbyt duże powiedziałam sobie „nie święci lepią garnki" zaczęłam się więc i nad tem mozolić, chwilami zniechęcałam się, poparzyłam ręce, z przerażeniem spostrzegłam, że palce straciły giętkość do grania, porobiły się odciski na dłoni ale zbrudziwszy kilka koszul, spaliwszy parę starych mankietów męża pokonałam i opanowałam zadanie, odtąd raz w miesiąc dozorując obiadu robionego przez służącą poświęcałam parę ranków na prasowanie, które mi się bardzo przydało, bo moje białe toalety moją też ręką były prasowane.

Ot i cały sekret jak się robią oszczędności domowe i w jaki sposób postępować by nie obciążać budżetu, a być zawsze „pod bronią". Palce i odciski goiło i przywracało do giętkości staranne nacieranie na noc wazeliną.

Wieczory były wyłącznie poświęcone przyjemności, już to przyjmowaliśmy u siebie nie siląc się na wspaniałe przyjęcia a jednak tak koledzy męża jak ludzie inteligentni polskiej kolonji z którą zaraz za-

wiązywaliśmy stosunki, garnęli się życzliwie do nas, lub szliśmy do teatru, na koncert, albo na zebranie w oficerskiem kasynie. Bardzo często zostawaliśmy jednak w domu, mąż czytał dzienniki lub głośno dobrą książkę, a ja mozoliłam się nad jaką nowo pomyślaną ozdobą do naszego najmilszego nam gniazdka.

Gdy widziałam męża wracającego ze służby z pochmurnem czołem, zniecierpliwionego i zmęczonego moralnie, rzucającego czasami wyzwanie do wyładowania energji swego złego humoru, nie podejmowałam rzuconej rękawicy, starałam się złagodzić nieznaną mi na razie przykrość, unikałam sprzeczki, nie chmurzyłam się, nie unikałam rozmowy, zachowywałam się spokojnie, choć drżałam z żalu, że doprowadzony do takiego stopnia zdenerwowania był ten dobry, zrównoważony zawsze człowiek. Jakże byłam szczęśliwa gdy później dawał mi dowody swego żalu za niesprawiedliwość i głębokiego przywiązania i zrozumienia wzajemnego.

Przed spoczynkiem znowu lustrowałam całe mieszkanie, służąca wiedziała, że ani w pokoju ani w kuchni nie powinny zostać brudne naczynia lub okruchy jedzenia na stole lub na podłodze jako przynęta dla myszy lub robactwa, które srodze przezemnie prześladowane wynosiło się niebawem. Wszystko musiało być czyste i na właściwem miejscu, co ułatwiało bardzo robotę ranną. Kolacja chociaż przy gościach zawsze nie później jak o 9, by służąca miała czas sprzątnąć i wcześniej iść spać. Jeżeli wróciwszy z teatru jedliśmy lub pili herbatę robiłam ją i sprzątałam sama nie budząc służącej. Ordynans bowiem nie sypiał nigdy w naszem mieszkaniu jak i nie spełniał nie właściwych dla niego robót, nie wchodził nigdy do naszej sypialni, nie niańczył dzieci. Jego pomoc ograniczała się do froterowania podłogi, czyszczenia butów i ubrania męskiego, pomagał też służącej w przynoszeniu i wynoszeniu ciężarów. Z nim też najczęściej chodziłam po zakupy zostawiając służącą w domu.

Tak więc całym sekretem nie wpadania w deficyt była praca, wytężona w różnorodnym kierunku praca, mój własny nad wszystkiem nadzór i inicjatywa. W mieszkaniu i kuchni, w stworzeniu harmonji duchowej czy w upiększeniu pokoju, wszędzie czuwałam bezustannie, nie pozwoliłam sobie spoczywać i wyręczać się jak nie spoczywał ukochany przezemnie człowiek spełniając swój, nieraz bardzo ciężki obowiązek. Czułam się szczęśliwą że rezultaty tej maleńkiej, mrówczej pracy, tak zwykle pogardzanej przez inteligentne panie, okazały się doniosłymi, nie wpadaliśmy w deficyt, a co za tem idzie, w długi, mąż był zdrów i kochał nadewszystko swój dom i gdy Jego koledzy uciekali z brudnego często swego otoczenia i tracili pieniądze w kasynie na kolację, wino i karty, mój mąż wolał zebrane u nas przy skromnej herbatce inteligentne towarzystwo lub domowy amatorski koncert skrzypaków lub wiolenczelistów a nierzadko młodzież organizowała tańce, ja i inne muzykalne panie naprzemian wygrywałyśmy i hulaliśmy nieraz do późnej nocy o ile następny dzień był świętem.

Dodam jeszcze, że szycie bielizny, sukien i kapeluszy nie odbywało się często, pozostawało wiele wiele godzin na kształcenie umysłu i zadowolnienie serca, na pracę w podtrzymaniu ducha garnącej się do nas a idącej za chlebem, bo go w ojczyźnie nie zawsze dostali, młodzieży. Musieliśmy stworzyć na dalekich północnych czy południowych kresach placówkę co broniła ich, tych naszych najmłodszych, od zagłady wśród przeważającego obcego żywiołu.

Była to też praca i to praca na wulkanie, ostrożna, cicha, dająca głębokie zadowolnienie gdy się i tam widziało dodatnie rezultaty.

Tak więc, drogie panie, żony oficerów moja rada tak prosta tak łatwa do wykonania. Chcieć! Poprobujcie jak ja niegdyś nauczyć się samej a później wdrożyć w tę pracę i innych. Jeżeli choć jedna z Was pójdzie w moje ślady, zrozumiawszy mnie, będę szczęśliwa bo wiem że osiągnie własne zadowolnienie, uznanie męża, spokój sumienia i nie będzie nigdy obawiać się deficytu, tej zmory domowej. Napiszcie mi proszę, jak radę moją przyjmiecie.

Wdowa po pułkowniku *Józefa K.*

JAN WIKTOR

PTAK I LALKA

DOKOŃCZENIE 2)

Wracał koło południa zgłodniały, aby znów pod oknem ludzkiem nucić...

Naraz wydał świergot radosny. W zadymce śnieżnej obaczył krąg wielki słonecznika. Istny śpichlerz. Dobrzy ludzie postawili, by w ten czas okrutny nie zginęły rzesze bezdomne i głodne. Niechże będą błogosławieni za to miłosierdzie przez ojca ptaków, który nie zna złości, jeno serce ma pełne dobroci i śpiewa cudnie w rajskich ogrodach.

Spadł nisko. Dziobał, łuszczył ziarna wśród wesołego świergotania.

Od strony domu doleciał trzask. Ptak merdnął ogonem. Ach! to ten dobry, znajomy chłopak, któremu co dnia śpiewa. I teraz melodją do niego uśmiechnął się. Jeszcze raz dziobnął. Chciał odfrunąć. Rozpostarł skrzydła. Cóż to zawadza? Trzepotał mocno. Włosień chwycił nogę.

Chłopiec zabrał złowionego, szeptając czułe słowa, tuląc do piersi.

Ptak ledwo głową poruszał. Patrzał przerażony.

— Nie bój się! Czego tak, biedaku, drżysz, czego tak serce ci bije. Ja cię tak bardzo kocham. Będziesz widział, jak ci będzie dobrze — wśród pieszczotliwych nazw chłopiec zaciskał mocno garść, aby się nie wyrwał, zaś wierzch głowy delikatnie palcami muskał.

Klatkę umieszczono w oknie. Ptak widział opuszczony krzew, na którym siadywał, ogród zaśnieżony, niebo, chmury. Słońce pozdrawiało go promiennemi wyrazami, ale uwięziony nie powitał go swoją piosenką. Zamilkł.

Nieraz chłopiec żałością przejęty sypał ziarno i gorąco prosił, najczulszemi słowami pytał, dlaczego nie śpiewa, dlaczego jest niewdzięcznym. Ptak nie zwracał uwagi na pytania. Siedział wciąż osowiały i czemś bardzo zasmucony. Ból jednej myśli niby kolec ciernisty tkwił w sercu. Czasem o zmierzchu cichą melodję zaszlochał, w tej melodji spłynęły krople z rany najboleśniejszej.

Nikt nie słyszał pieśni smutku sobie śpiewanej.

Tak się przynajmniej ptakowi zdawało.

Jednak był ktoś, co słuchał z ukrycia. Była to lalka porzucona i zapomniana. Spostrzegł ją jednego dnia, kiedy doń ręce wyciągała. Ale w tej samej chwili ręce opadły.

Leżała w ciemnym kącie wśród rupieci za piecem. Sukienka zbrukana, poszarpana ukazywała nogę urwaną. Na policzkach powalanych pozostał rumieniec nienaruszony i wargi świeże, różowe. Nad wzgardzoną, zapomnianą przez wszystkich, tylko pająk rozwieszał zasłonę. Ale on uciekł. Został tylko świerszcz, który ją drwiącym dźwiękiem godzinami zabawiał i śmiał się, kiedy jej porcelanowe serce na wspomnienie dawnego życia, pieszczot, pocałunków, zabaw, rzewnie płakało...

Ptak widział w jej obliczu bezbrzeżny smutek. Nieraz długo w nie wpatrywał się. Chciał złowić jej spojrzenie, chciał, aby usta przemówiły. Czekał z drżeniem tęsknoty. A wierzył, że kiedy usłyszy jej głos, wtedy czarowne słowa pochwyci i upojony urokiem ich zaśpiewa cudnie.

Lalka zawsze leżała w tem samem miejscu, obdarta i biedna. Nigdy nawet promień słońca w ten kąt nie wleciał. Nawet na świat nie mogła spojrzeć.

Często ptak zapatrzony w nią pytał:

— Lalko biedna, cóż uczynić, aby cię rozweselić. Przyniósłbym z łąk zaklętych kwiaty, ale sam ich już nigdy nie obaczę. Łowiłbym promienie, ale ciemność wokoło. Lalko smutna...

Kiedy dla niej zaśpiewał, to z każdej melodji łzy popłynęły. Zamilkł, nie chcąc o swem nieszczęściu opowiadać, nie chcąc żałością i cierpieniem dzielić się. Tylko błagał ją, aby choć raz spojrzała.

Oczy jej nie drgnęły, usta nie przemówiły. I teraz dopiero poznał, że lalka ma oczy wydłubane, dwa otwory niby rany ciemne. Na ten widok bez drgnienia pozostał.

Smutek nieszczęśliwej lalki rzucił mrok na serce jego. Już nigdy nie miał odwagi popatrzeć w kąt, ale też nie popatrzył na świat. Siedział zgnębiony, nic nie widzący.

Minęło kilka tygodni. Śnieg stajał i w strumieniach swawolnych, migotliwych popłynął w doliny. Wytrysła

trawa z zielonych promieni i obłokami świeżości zbłoconą ziemię pokryła. Gwiazdy w nocy zapalały kwiaty. Co dnia rano wciąż nowe coraz piękniejsze kielichy wynurzały się. Wiosna szła po kobiercach wonnych i barwnych, porzucając wszędzie gwiazdy, strojąc w szaty i wieńce. Jej przybycie witały ptaki śpiewem.

Jeno ptak uwięziony milczał. Widział kwitnące łąki, wschody słońca, obłoki, niebo i pomyślał, że jest po stokroć szczęśliwszy niż lalka.

Właśnie smuga światła spłynęła do klatki. Zadrżał, przejęty jego słodyczą. I wtedy z grudy serca obudzonego promieniem wybiegł ku słońcu uśmiech.

Ptak zaśpiewał.

To lalce ślepej czarującemi wyrazami opowiadał o słońcu, o wiośnie, o kwiatach, o obłokach wybierających się na wędrówkę po błękitach, o ptakach, które miłośnie śpiewają nad strumieniami, o zdrojach, które z pośród niezapominajek teraz blaskiem się uśmiechają.

Rzucał melodje w kąt ciemny.

One padały na usta, na oczy lalki.

— Serce porcelanowe zabiło radośnie i ślepa, smutna lalka uśmiechnęła się uśmiechem rozkwitłym melodjami ptaka zachwyconego.

Kiedy milknął, twarz przygasała i tchnęła dawnym smutkiem. Więc zapragnął śpiewać wiecznie, aby wszystkie drgnienia życia były jej uśmiechem.

W jej uśmiechach, w jej spojrzeniach rozmiłowane serca ptaka było niby kwiat wiecznie kwitnący.

W ten dzień sprzątano pokój.

Ptak w zachwyceniu nie wiedział, co się wokoło niego dzieje.

Upojony był jedną myślą.

Późno spostrzegł, że wraz z rupieciami z kąta wymieciono lalkę. Zamarł wstrząśnięty grozą śpiew. Przywierał oczy do otworów klatki. Rozpaczliwie szamotał się, bił dziobem w pręty, pokaleczony tłukł w przegrody okrutne, chcąc je przełamać, wyfrunąć i skrzydłami ochronić lalkę. Pobity, udręczony wołał, aby ostawiono ją, gdyż znów zamilknie, dla niej bowiem śpiewa. Z jej uśmiechów jego śpiew.

Zniknęła za drzwiami jednym rzutem okrutnej miotły.

Ptak ostał samotny. Kiedy spojrzał w opuszczony kąt, z serca przejętego żałością ostatnie melodje purpurowych wyznań osypały się niby płatki skrwawionej róży.

II.

Od tego nieszczęsnego dnia zamilkł ptak. Nie radowało go już ani słońce, zalewające klatkę strumieniami, ani rozkwity rożowych poranków, ani ogrody rajskie zachodów. Nie witał ich, ani nie żegnał. Ból mu sprawiały, że tylko on może patrzeć, podziwiać, a wieścią o pięknie widzianem nie może podzielić się z umiłowaną. Smutek wspomnienia zasłaniał urok świata. Raz o wschodzie jutrzenki stanął wśród blasków w obłokach woni kwiatów niebieskich i słodkich wzruszeń, w upojeniu nucił, szukając oczami rozkochanemi przedmiotu swej miłości. Obaczył pusty kąt i melodje zmieniły się w bolesne westchnienia stęsknionego. Pragnął uciec, aby znaleźć lalkę i opowiedzieć tajemnicę serca i, opowiadając bajkę miłości, patrzeć w jej uśmiech. Duszę miał pełną myśli o niej, wyznań w samotności wyśnionych. Usiłował stargać więzy, bił skrzydłami o pręty, a tylko kaleczył się w daremnych szamotaniach.

Patrzał w pusty kąt. Mijały szare, posępne godziny, nierozjaśnione jedną piosenką.

Chłopiec często podchodził do klatki, prosił gorąco choć o jedną melodję. Żal mu było ptaka. Chciał rozprószyć jego smutek, rozweselić go wolnością. Otwarł drzwiczki. Ptak wyfrunął, okrążał pokój, bił o ściany. Zatrzepotał, obaczył w zwierciedle odbity świat, niebo, ogród, drzewa obciążone kwieciem. Radosny świergot wydał na widok cudownej złudy, całym rozmachem uderzył w szkło. Padł w to miejsce, gdzie lalka leżała.

Chłopak podjął omdlałego. Cucił go, pieścił, czule przemawiał. Na dłoni leżał zdrętwiały, bezsilny kłębek. Więc wyniósł go do ogrodu i złożył pod krzewem róży. Po długiej chwili ptak ocknął się, powitał świat cichym świegotem smutku i radości. Zdumiony patrzał na drzewa, na kwiaty, na niebo. Strach go ogarnął, że znów go chwycą i zamkną w klatce.

Uciekł z tego przeklętego miejsca.

Wolność go oszołomiła. Zapomniał o niewoli i o lalce. Pił rozkosz i ukąpany w słońcu radości śpiewał na cześć jej. Serce jego było owite wieńcem, a każda melodja kwiatem najwonniejszym wykwitłym z miłości do życia.

Wśród gromad skrzydlatych nazwano go szczęśliwym ptakiem. A on jakby w podzięce w natchnieniu nucił coraz piękniejsze, bardziej zachwycające pieśni.

Razu jednego zbliżał się wieczór. Ptak śpiewał pieśń, żegnającą dzień, ginący w purpurze. Słońce już zaszło. Na zachodzie tylko różowiła się ostatnia chmurka jakby to anielskie usta z zaświatów przesyłały uśmiech ptakowi, wsłuchane w jego melodje, które płynęły jako obłoki po lazurach upojonego serca. W pewnej chwili dźwięki zaćmione zagasły, znów wkrótce zaśpiewał. Zrazu wybiegły słodkie, tkliwe jakby z rosy i łez je zbierał, a potem nabrzmiałe bólem i żałością, jakiemi kogoś najmilejszego żegnał. Zamilkł wsłuchany w echa skargi, zbiegającej się do serca. Już nie wyrzucił jednego wyrazu.

Na ziemi spoczęła srebrna cisza, zapłakana kroplami rosy, wylanemi tysiącem ócz kwietnych i gwiezdnych. Ptak nie patrzał na świat. Widział w mgłach smutku pręty klatki, za szybą ogród, pola, łąki, widział kąt pokoju i lalkę smutną. Chciał ją rozweselić i w rozmarzeniu śpiewał piosenki jak dawniej, każda inna była, każda piękniejszy uśmiech niosąca.

Znów zjawiło się wspomnienie ostatniego, okrutnego zajścia.

Na widok służącej wydał bolesny dźwięk, który go przeszył kolcem wspomnienia. Chciał bronić, bił skrzydłami, kiedy obaczył pod miotłą lalkę biedną, udręczoną.





Na snach o lalce zastał go świt. Poranek budził się w różowych obłokach i w błękitach. Ptak wzleciał w wyżyny, pragnął złowić promień zorzy i znieść go lalce smutnej.

Od tego dnia szukał słodkiego przedmiotu swej miłości. Wszędzie widział jej uśmiech, nosił duszę upojoną jej imieniem. Śpiewał dawne pieśni, wierząc, że może gdzie ukryta lalka usłyszy je, pozna i uśmiechnie się.

A kiedy w wieczór majowy zwierzał się ze swej miłości, tylko ptaki nadlatywały, chcąc złowić i zapamiętać choć jeden dźwięk stęsknionego serca. Kwiaty w kielichy chowały odgłosy pieśni i wonią melodji poiły się, gwiazdy ich jasnością rozpromieniały się.

Kwiaty i gwiazdy nauczyły się jego tęsknoty i jej imienia. Wymawiały je promieniami i szmerem koron. Ale nie mogły zaćmić czaru pieśni rozmiłowanego ptaka.

Błąkał się po ogrodach, polach, łąkach, wśród obłoków, zawsze i wszędzie pieścił się nadzieją, że spotka lalkę i choćby w ostatniej melodji zaniesie uśmiech i rozjaśni jej usta smutne. Najpiękniejsze, natchnione melodje chował dla niej, ale i one padały w pył z kwiecia serca wstrząśniętego cierpieniem.

Minęło wiele dni. Wszystkie nadzieje zaćmił smutek rozłąki, rozczarowań i ból daremnych wyczekiwań.

Po długich poszukiwaniach znalazł się na podwórzu, z którem był związany najrozkoszniejszemi i najboleśniejszemi wspomnieniami. Na widok domu, drzew znajomych, wybiegły tęskne, słodkie dźwięki, a każdy był przyzwaniem, wyznaniem, uwielbieniem lalki. W pieśni natchnionej śnił o niej i czarownie opiewał ją. Zbliżał się do okna, odbiegał, wzbijał się wysoko, krążył naokoło i rozrzucał kwiaty pieśni.

Właśnie wtedy chłopiec chodził z flobertem. Rozległ się strzał. Kilka śrutów przeszyło upojoną pierś śpiewaka.

Ostatnie melodje wyśnione w tęsknocie zabarwiły się krwią.

Mrok go otoczył.

Trzepocąc rozpaczliwie mdlejącemi skrzydłami, spadał coraz niżej na śmietnisko. Już niemal płotu dotykał, kiedy usłyszał westchnienie ciche, jakby swoje imię wypowiedziane słabiuchną melodją.

Serce mocno uderzyło, iskrami wzruszeń rozprószyło mgłę omdlenia i stanęło w jasności. Zawisł, znieruchomiał w powietrzu i cały spłonął od pozdrowień, uwielbień, wyznań słodkich i tęsknych. Obaczył lalkę bladą, opuszczoną i po stokroć smutniejszą niż dawniej.

— Zaśpiewać — zaśpiewać, niech jej usta uśmiechną się do niego i niech w ostatniej chwili on rozpromienieje jej uśmiechem.

Padł obok. Z wielkim trudem poranionem skrzydłem ją ogarnął, rozmiłowane serce, drżące od wzruszeń, do jej serca przytulał i cicho, cichutko zaśpiewał o kwiatach, o słońcu, o wiośnie i o swej miłości.

Wszystkie `tchnienia, wszystkie uczucia i uderzenia serca zmieniały się w najczarowniejsze melodje dla ukochanej i zmieszały się z purpurowemi kroplami krwi, jakiemi jego rany zapłakały.

W błogiem upojeniu śpiewał coraz ciszej, coraz radośniej i coraz miłośniej.

— Z bólu mego — z bólu mego — niosę ci promienie — wonie — uśmiechy.

A lalka słodko rozmarzona uśmiechała się wsłuchana w miłosną pieśń konającego ptaka.

MOJE PAPUGI

(JAKUNIO I KASIUNIA)

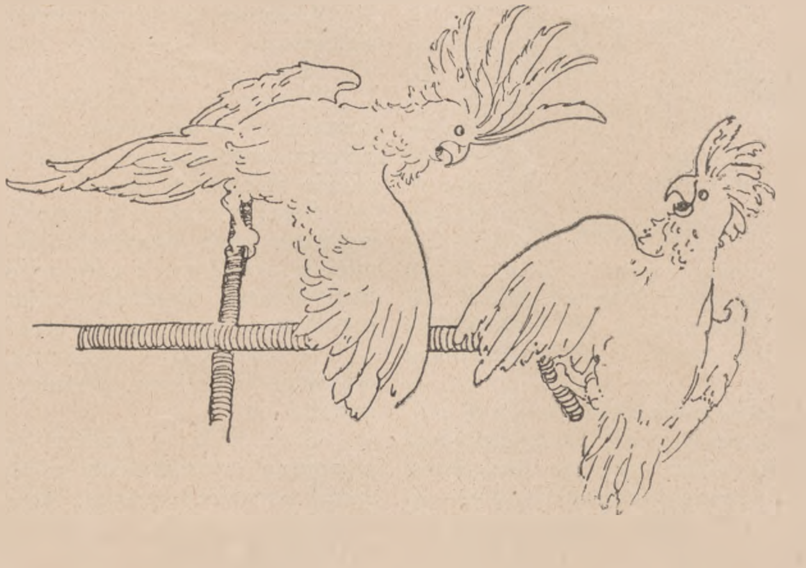
Jakunio kręci się niespokojnie na drążku. Słońce wysoko, wyśpiewał już cały swój repertuar, a nikt nie zbliżył się jeszcze do niego ze śniadaniem. Widzi w jadalnym pokoju krzątającego się służącego, pani domu przeszła obok klatki parę razy — czyżby dziś o nim zapomniano? Jakunio wie i widzi bardzo wiele — ale nie mógł przewidzieć, że dziś na śniadaniu będą goście, więc trudno, jak zazwyczaj, myśleć w pierwszym rzędzie o papugach!

— Dać ci jeść? — zapytuje wreszcie cichutko. — Dać ci jeść? — powtarza głośniej. — Nikt nie przychodzi.

Wreszcie zbliża się do klatki jakaś strojna pani. — Śpiewaj ptaszku — prosi melodyjnym głosem, — śpiewajże, cóż to nie umiesz? Niegrzeczny ptak, nieuk, niemowa — pada coraz szybciej z ust pani.

— Będziesz ty cicho papugo!! Psiakrr...

Pani rozgląda się niespokojnie, czy ktoś nie dosłyszał zwróconego do niej epitetu i, zarumieniona z gniewu, opuszcza werandę.



Jakunio — mimo, że ojczyzną jego jest Ameryka — umie kląć głośno i z zacięciem, jak każdy prawy Polak, gdy mu się coś nie podoba, zna jednak także przepisy *savoir vivre*'u i dla swych przyjaciół umie znaleźć najpieszczotliwiej wymawiane słówka: „moja złota", „mój najdroższy", „mjuku, mjuku" (wyraz jego własnej kompozycji, którym obdarza tylko wybranych), nie znosi jednak, gdy go ktoś potrafi przegadać. Jakunio jest cały popielaty, oczy ma nieokreślonej barwy, o źrenicach zwężających się lub rozszerzających nadmiernie, zależnie od usposobienia, ogonek złożony z samych czerwonych piórek. Ruchy jego są zawsze spokojne i pełne godności. Mimo, że serce Jakunia jest jakby opancerzone stalowemi, gęstemi piórkami, jest jednak do zdobycia — łakociami! Przepada bowiem za biszkoptami, maczanemi w kawie, kożuszkiem od śmietanki, orzechami włoskiemi, daktelami, tłustemi okrawkami szynki. Kawę pije z łyżeczki, ocierając dziób za każdym łykiem o druty klatki.

Na kuchni rozumie się wyśmienicie. Ktoś podał mu raz kisiel. Kisiel był nieudany. Jakunio zakleił sobie dziób, zaklął głośno i chwyciwszy za łyżeczkę, cisnął nią z hałasem o ziemię.

Jakunio nietylko rozróżnia ludzi — poznaje też gatunek zwierząt. „Kici-kici, miauu" — woła na skradającego się doń kota, „prrr" — na zajeżdżające przed ganek konie, gwiżdże na psa, dodając przytem zawsze jakieś zasłyszane psie imię.

Pewnego razu, gdy Jako spacerował po ganku — jął go „wystawiać" wyżeł. Jako spojrzał na nieruchomego, wpatrzonego weń psa i zapraszał uprzejmie: „No chodź tu, chodź".

Przyglądałam się tej scenie uważnie, by w razie potrzeby interwenjować na rzecz Jakunia. Stało się jednak wręcz przeciwnie: Jakunio, nastroszywszy pióra, nacierał na psa, gwiżdżąc nań i wołając, pies zaś wystraszony cofał się wtył i uciekał, wtuliwszy ogon pod siebie.

Pewnego razu rozegrała się dużo zabawniejsza scena: Nowo przyjęty służący, nie wiedząc, że Jakunio posiada dar wymowy, zamierzył spłoszyć go miotłą ze szczytu kaflowego pieca, gdzie był zajęty obdzieraniem tapet ze ścian. — „Nie wolno! nie wolno! a ty drabie jeden, idź do domu spać!" — darł się Jakunio z taką złością, że służący uznał za stosowne rzucić miotłę i uciec do kredensu przed „jakimś djabłem" w ptasim kształcie.

Jakunio ma bardzo brzydką wadę szarpania wszystkiego naokół i dlatego każdy jego ruch na wolności bacznie śledzić trzeba. Wydobywszy się raz z klatki cichaczem, sfrunął na biurko i podarł w drobne kawałki wszystkie rozłożone na niem fotografje. Po dokonaniu tej psoty, kołysał się najspokojniej na poręczy krzesła.

— Co ty tu robisz?! — krzyknął ostro, zaledwie weszłam do pokoju, a oczy jego jęły rzucać niespokojne spojrzenia na piętrzący się stos papierów.

Czyż mogłam jednak mimo słusznego gniewu i żalu ukarać psotnika? — Biedaczek miał minę skruszonego winowajcy, a wielki dziób tak zabawny pozór nosa, spuszczonego „na kwintę", że skończyło się tylko na lekkiej perorze, że takich figlów jednak nie należy swym przyjaciołom płatać...

Jakunio lubi się pieścić. — Całuje, kładzie się na kolanach swej pani, pozwala się nosić w ramionach w pozycji leżącej, jak małe dziecko. Jest bardzo pojętny. Lekcji wyucza się najlepiej wieczorem i każde wymawiane przez człowieka słowo, zda się, wchłania oczami. Najłatwiej przyswaja sobie wyrazy, mieszczące w zgłoskach *r*. Piosnki śpiewa wyraźnie, z zachowaniem melodji i rytmu. „Poleciała przepióreczka w proso, a ja za nią nieboraczek boso", „Umarł Maciek, umarł, już leży na desce", „Mam ogonek czerwony", „Boli cię głowa, daj buziaka, będziesz zdrowa" — oto repertuar Jakunia, którym się najchętniej popisuje.

Wypuszczony na wolność, nie chce wracać do klatki — na wszystkie najczulsze prośby i zaklęcia nieczuły. „A kuku!" — woła w odpowiedzi ironicznie ze szczytu drzewa, a cały park rozbrzmiewa od koncertów gwizdania, które Jakunio wykonuje naprawdę artystycznie.

— — — — — — — — — — — —

Kasiunia zaś (Kakadu), którą wygrzewało w gnieździe gorące afrykańskie słońce, jest usposobieniem i upierzeniem wręcz od Jakunia odmienna. Biała, z żółtawym odcieniem, o prześlicznym, wachlarzowato otwierającym się czubie, który tworzy nad jej zgrabną główką jak gdyby złocistą koronę, oczy ma pełne wyrazu, bronzowe, jak dwa ziarnka palonej kawy. Nerwowa, ruchliwa, szczupła,

bardzo zgrabna, przyjaźnie dla wszystkich usposobiona, nie usiedzi spokojnie na drążku ani chwili, wyginając i łamiąc silnym dzióbem najgrubsze kraty swego więzienia. Kasiunia nie umie naśladować dźwięków ludzkiej mowy, głosowa jej umiejętność streszcza się w jednem śpiewnem „kakakadu", wygłaszanem jednak z tak subtelną modulacją, że wszyscy, znający dobrze Kasiunię, doskonale wszystkie odcienia mowy jej rozumieją.

Kasiunia ma śliczny, właściwy sobie gest miękkiego rozkładania jednego skrzydła ponad główką, którą w ruchu tym przegina nader kokieteryjnie. — Ot, prawdziwa kokietka!

Z Jakuniem mieszka (nie pod jednym dachem, boć dzielą je zwykle druty dwóch osobnych klatek) już lat 23, a jest zawsze dla niego pełna przymilań i wdzięku. Czy to kołysze się razem z nim na cienkich gałązkach drzew parkowych, czy spaceruje niezgrabnie po woskowanych posadzkach salonu — czy też w zimie na gzymsie pieca zamarzy o gorących promieniach słońca swej ojczyzny — Kasiunia zawsze w onych chwilach „sam na sam" zaczyna miękko i delikatnie skrobać najpierw dzióbem główkę Jakunia. W następstwie tej pieszczoty łączą się oba dzioby w gorącym pocałunku, powoli, powoli, Jakunio pozbywa się swej jankesowskiej flegmy i daje się porwać... Przestępuje z łapki na łapkę, okrywa Kasię skrzydełkami, tuli do siebie i wykonuje różne pocieszne ruchy.

Kasiunia drży z rozmarzenia i oczekiwania, niestety, dotychczas zawsze napróżno...

Jakunio nie zapomina bowiem nigdy, że płeć silniejsza winna uszanowanie słabszej.

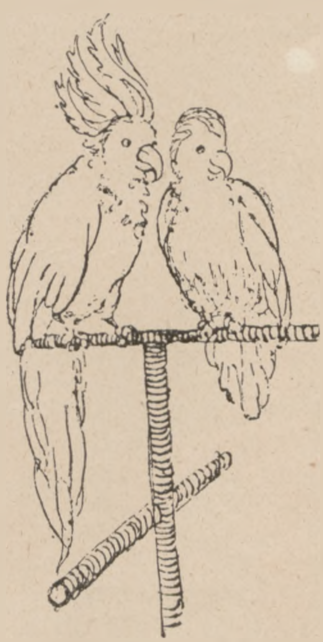
Aż wreszcie tego lata, Kasia, sprawdziwszy znowu, że wszystkie jej usiłowania nie sprowadzą Jakunia na manowce, po nowym nieudałym flircie, dotychczas cicha i pokorna, rzuciła się gwałtownie na towarzysza i jak furja, z podniesionym czubem, rozpostartemi skrzydłami, jęła zadawać, ogłupiałemu wprost tym niespodziewanym zwrotem, Jakuniowi cios za ciosem.

Za chwilę walka rozszalała na dobre — potężne dzioby uderzały o siebie z hałasem, białe i popielate piórka fruwały w powietrzu chmarami...

Z wielkim trudem udało się wreszcie rozgniewaną parę rozdzielić i zamknąć do klatek.

Nazajutrz, Kasia, spacerując po ogrodzie, zbierała z wielką powagą piasek i drobny żwirek, a w parę dni później patrzyła z dumą na złożone przez siebie, małe, białe jajeczko, którem jednak przestała się zaraz interesować.

Figle Kasiuni bywają niewinniejsze od psot Jakunia. Z zastawionego stołu ściąga w locie jakieś smaczne kąski, owoce, plasterki, wędliny, ciasta, które następnie, trzymając zgrabnie w jednej łapce, nadgryzie, odrzuca i wraca po nowe.



Kłębuszki nici, guziki, wybiera z koszyczka od robót, rozłamuje na drobne kawałeczki lub, zgromiona, ucieka oknem i umieszcza skradzione rzeczy na dachu. Z psem i kotem żyje w przyjaźni.

Bawi się z niemi w „chowanego" gdzieś za parawanem lub kanapą, chwyta znienacka delikatnie za ogon, jada z niemi z jednej miseczki, obgryzując z przyjemnością znajdujące się w niej kości.

Rysem charakterystycznym Kasi jest wprost psie przywiązanie i posłuszeństwo względem swej pani.

Wpatrzona miłośnie w oczy, łasi się, aż czasem natrętna ciągłą chęcią pieszczoty!

Wypuszczona na swobodę, z najdalszych zakątków parku, od najmilszego zajęcia, skalpowania młodych gałązek, odrywa się natychmiast i sfruwa na ramię wołającego ją po imieniu.

Papugi moje są postrachem mieszkańców kurnika i ptaków w ogrodzie. Wróble, jaskółki, wilgi i inne gatunki ptasiego rodu odczuwają momentalnie bytność w parku tych obcokrajowców i reagują albo głośnem ćwierkaniem lub też, zbite w gromadkę, okrążają niespokojnie miejsca ich pobytu. Gawrony tylko — mimo złośliwych, przywiązanych do ich imienia właściwości — nie dziwią się wcale niczemu, pozwalając obojętnie gospodarować papugom po drzewach.

— — — — — — — — — — — — —

Słońce zachodzi. Poprzez koronkę liści winogradu, rozpiętej na oknach werandy, rzuca ostatnie skośne promienie wprost na główki moich wychowanków. Papugi mrużą oczy, opuszczają w dół potężne nosy i zastygają w słodkim, spokojnym śnie...

Jak się to jednak stało, że te dzikie, złe stworzenia, tłukące dzióbem, wrzeszczące ze strachu, gdy się do nich po raz pierwszy zbliżyłam, są mi dziś wiernymi, miłymi, rozumnymi towarzyszami??

O sprycie papug pisano już wiele — wysławia go Brehms w swem słynnem dziele, a jednak śledząc z dnia na dzień tę budzącą się inteligencję, patrząc na tysiączne przykłady sprytu, dowcipu i zrozumienia człowieka — uwierzyć wprost trudno, że ten osławiony ptasi móżdżek może obejmować w dziedzinie myśli aż tak szerokie horyzonty.

Potrzeba na to jednak ze strony człowieka dużo cierpliwości, łagodności, zrozumienia potrzeb zwierzęcia, uprzyjemnienia mu niewoli, a szczególnie — co niech się nikomu śmiesznem nie wydaje — trzeba w to włożyć dużo, bardzo dużo serca...

N a j w y m o w n i e j s z y m przykładem tych twierdzeń są — moje papugi.

MIŁOŚĆ

Purpurowa
zachwycona,
cudna toń —
ciche słowa,
drżenie łona,
róży woń.

Błękit nieba,
urok cienia,
fiolet bzów...
kraj milczenia,
gdzie nie trzeba
próżnych słów.

Ukąpany
w blaskach tęczy
orszak złud...
Srebrne piany
i młodzieńczy
zapach-cud...

Rajskich ptaków
hen ku górze
jasny bieg...
i w purpurze
kraśnych maków
liców śnieg...

ALINA BUTRYMOWICZÓWNA

POSTÓJ UŁAŃSKI

Zadygotał tupot nóg żołnierskich w podźwięku ostróg i szablic: wchodzą ułani do kościółka wiejskiego. Miarowo kroczą plutony — tuż za oficerami postępują starzy wiarusy, ogorzali snać w bitwach, w wichrach i słońcu — a potem ciśnie się młoda wiara ułańska — młodziutkie żołnierzyki — pacholęta prawie! Stanęli w ordynku rycerskim w bielonym kościółku, tonącym dziś od powodzi słońca, stanęli pośród bogobojnych rzesz wieśniaczych rozmodlonych... i tak naprawdę półgłosem wokół szepcą owe modły, pewno błagalne i biją się w zdrowe piersi te gazdy wsiowe — a znowu wznoszą ku świetlistemu sanctuarjum swe oczęta dziewuchy, ukwiecone tam przy niedzieli, niczem żywe kwietne pękowia — trochę też czasami tam spoglądają na wojaków, co w polskich barwach w cieniu kościelnych chorągwi sobie stoją w poważnem rozmodleniu.

Z czcią nieopowiedzianą, a nabożną patrzy młódź wiejska na tych wojów zbrojnych, patrzy nawet nieświadoma, iż w piersiach tam tych zdobnych w odznaki zaszczytne polskie, w polski amarant „walecznych na polu chwały" — alboli granatową czerń „virtuti" — gorzeją pewno te piersi honorem nieskalanym i miłością Polski taką samą pewno, jak wonczas ogniowy, gdy ci junacy nieśli się na grad kul wrażych i gdy zdobywali krwią te ordery bezcenne! Patrzą wieśniacy na te ułańskie ręce, sparte na głowniach szablicy tych, które wyrębały wolność tych kresów i dziś jej bronią!

A żołnierzyki... może nie pierwszy raz byli w tym kościółku, w czas przewalających się burz i inwazji — dziś taki los żołnierski wypadł im dziś tu! — tak jak ptacy na wędrówce — dziś tu w tym kościółku rozmodleni, zasłuchani w pieśni dzwoniące z wysokości, kędy na chórze wykwita girlanda dziewczątek polskich wokół panienki-dziedziczki z dworu i niosą się srebrzyste te śpiewania anielskich melodji ku chwale niebiańskiej, gdy tak wezmą na głosy i to srebrzyste swe głosiki cudną pieśń „Bogarodzico":

Wolności błyszczy zorza
Wolności bije dzwon
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron...

W słońcu złoceni ćwiczą ułani — niezrównana nasza jazda polska, jaką chyba zaklął w wizji marzeń polskich nieprzemiennych Sienkiewicz... Żeromski... kiedyś na pokrzepienie serc i oczu! Tak kiedyś — a dziś na zielonej łączce ćwiczą w dalekiej kresowej wiosce... jak na obrazku malowani! Dziś szyki ułańskie polskie, żywe, barwne wyprawiają harce swywolne. Chyże, pyszne koniki strzygą uszkami, w miejscu nie chcą ustać — rozpoczyna się niezrównana szwoleżerka: pędzą kawalerzyści w kolumnach srogich — przechodzą w brawurowe szarże — rozwiewają się szyki zwiewne — tylko łopocą proporczyki barwne — pędzą dzielni, szaleni ułani... gdzieś polecą w dal... aż nagle trąbki zew: ta... ta... ta!



Wyglądają z okien, z podwórek kwietnych, z pod chat słomianych dziewuchy hoże i młodyce — patrzą i podziwiają piękno młodzieńczej jazdy polskiej słowami niekłamanego zachwytu: „Kraśni chłopcy..."

Kędy spłonioną gromadą barw tęczowych malwy piją blaski słoneczne a czapraki ułańskie schną sobie z potu końskiego, schną sobie na żywopłotach zielonych — a konie na podwórcach gospodarskich mierzwią sobie zieloną kędzierzawą paszę lub chrupią zdrowo ziarna południowego obroku — ułani spotniali, ogorzali spożywają z menażek dary Boże, pokrzepiają się — potem gawędzą wesoło, czytają pocztę i piszą listy... z rozrzewnieniem, często gęsto drżącemi rękoma drą koperty i pisanie czytają: uśmiechają się, otwierają oczy zdziwione, marszczą czoła... czasem w odrętwieniu zamartem opada list z rąk żołnierskich, list wieszczący może czasem nieszczęście — o tak czasem przecież..!

Stoją po wiejskich kwaterach bielonych, ukwieconych, alić tak często wykwitają słowa tęsknoty na wargach młodzieńczych:

„Ach żeby choć list przyszedł..."

W skwarne popołudnie na łanie pszenicy żną żeńcy... żną... żną... żnie kolorowa plama dziewcząt. Jedna podnosi się od sierpa, przysłania oczy rękoma swemi spracowanemi dziewczęcemi — patrzy w dal... insze czynią podobnie tak samo, patrzą w dalekość pod słońce — jak wyłaniają się w polnej drożynie ułani... jadą do nich... tak ich wielu... jadą, jadą, aż ziemia tętni... jadą mimo żniwiarzy... ten w przedzie pozdrawia donośnie: „Szczęść wam Boże!". „Dziękujemy" — chórem zadzwoniły głosy dziewczęce — patrzą na się wzajemnie gorącemi spojrzeniami, pełnemi pewno pożądań przesłodkich, dziwnych, nieopowiedzianych... a może obietnic... patrzą na się kraśni, młodzi, kwietni...

Naraz ktoś z ułańskiego szyku zanucił cichuteńko piosenkę:

„Chodziła po polu i zbierała [kłosy" —

chórem jednozgodnym, silnym podjęła wiara ułańska:

„Kocham takie dziewczę, co [ma jasne włosy
Co ma jasne włosy i oczy nie-[bieskie
I tych bym nie oddał za berło [królewskie"...

Płynęła pieśń szczera, jak pewno szczere tam to serce żołnierskie. Dziewczęta sielskie, bose te żniwiarki stały w miejscu wśród złotych kłosów pszennych — zasłuchane — jakby urzeczone — ... i prężyły się bezwiednie i wpatrywały się w ułanów, jakby ich całowały oczyma swemi dziewczęcemi i patrzyły za polską konnicą, długo, długo... aż oni chłopcy malowani w dalekościach słonecznych zanikli...

Gorący powiew wiatru i słońce złote muskały ją...


206
207
208
209
210


212
214
211
213
215


217
219
216
218
220


221
222
223
224
225


227
230
226
228
229


231
232
233
234
235
236
237



238
239
240
241
242
243
244


245
246
247
248
249
250

babulinkę siwą, białą jak opłatek — gdy siedziała na przyzbie pod chatą wiejską i szyła. Spracowane chude ręce przebierały igłą, obrębiały, cerowały, dzierżgały szarą koszulinę — w słonku migotała igiełka, gdy w nią nawlekała stara babunia nić zgrzebną, szarą, jak szary spracowany żywot wiejskiej kobieciny, co szyła, i zczepiała pracowicie tę szarą koszulinę...

Obok z kotem w kurzu i w słońcu bawiło się dziecko zamorusane, choć z urodzenia jasne.

— Szyjesz babciu? — szeptało sobie...

— Szyję aniołku, szyję wojakowi, może tam gdzieś i naszemu Grześkowi ktoś tak samo w przygodzie stanie.

— Czego płaczesz babciu? — pytało potem dziecko i dalej pieściło się z kotkiem... A łzy babuliny padały sobie bezdźwięcznie w koszulinę żołnierską, ale suszyło je dobre jasne słonko...

Wieczorną porą letnią, gdy już gwiazdy zalśniły na pogodnem niebie, gdy milknąć jęły tajone szepty, a wargi młodzieńcze stygnąć po żarze miodnych pocałunków — a nacichły już sielskie śpiewania tęsknych dum — rozbrzmiała trąbka ułańska w miesięczną noc!

Niosły się dźwięki po rosie w dal... w nocy cienie... grzmiał trąbki żołnierskiej zew — jak zaklęcie — echo minione... apel ten sam zawsze polski, ten samiuteńki, pomny minionych dni chwały orężnej i snów starych polskich, żołnierskich — zew pamiętny rożańca imion żołnierzyków zapomnianych już może tych co już odeszli, co gdzieś śpią snem nieprzespanym... apel wzywający tych, co jeszcze żyją i czują w sobie to polskie życie... dziś...

Trąbka dzwoni ta... ta... ta... trębacz gra wymownie, jak w pieśni onej, polskiej o ułanach... trąbka gra... gra w gwiezdną dal... a wiem, że echem drga tam niejedno serce w tej kresowej wiosce w oną letnią cichą noc...

Ranny przedświt pogodny pylił różanem zaraniem polne rozłogi i łany bezkresne i lasy...

Pociąg owity runem dymu niósł się stąd gdzieś hen...

Gdzieś z ciemnego lasu na niwy wyjechały szyki tłumne, konne, jechała kawalerja z nocnych wedet kresowych... zalśniły lance, zamigotały w wschodzącem już słońcu otęczą najdroższych barw lampasy ułańskie... koniki parskały na dobrą wróżbę zaranną... Jechali milczący, poważni w ten ranek, jechali sobie ułani i widzieli jak wychylały się za nimi z okien pędzącego pociągu przeróżne głowy pasażerów, jak patrzyły za nimi zdziwione oczy z okien pociągu, uciekającego stąd z kresów w dal...

Tadeusz Abdank Kunicki

WYPADA — NIE WYPADA?

Gdy służba oznajmi o podaniu do stołu — pani domu powstaje i zbliża się do mężczyzny, który ma zająć przy stole miejsce po jej prawej ręce. Bywa to zazwyczaj osobistość wyróżniona z powodu wieku lub stanowiska społecznego. Pan domu podaje ramię najstarszej albo najwybitniejszej z pań w towarzystwie, wchodzi z nią pierwszy do jadalni i pomaga znaleźć miejsca nie orjentującym się — podczas gdy pani domu czeka w salonie na przejście wszystkich gości do stołu. Wejdzie dopiero przed swemi córkami lub młodziutkiemi krewnemi, prowadzonemi przez równie młodych ludzi. Zgromadzeni przy stole czekają aż pani domu zajmie miejsce. Panie kładą wachlarz i torebkę na stole po prawej ręce.

Miejsca honorowe są po prawej, potem po lewej stronie pani i pana domu.

Jeśli wśród zebranych jest ksiądz — rezerwuje się dla niego pierwsze miejsce. Wchodzi też pierwszy do jadalni.

Mężczyzna prowadzący kobietę do stołu powinien poświęcić jej uwagę — otoczyć ją drobnemi staraniami i bawić rozmową.

Powrót do salonu rozpoczyna pani domu. Zaraz po deserze zdejmuje serwetkę z kolan i nie składając jej umieszcza niedbale na stole, a gdy i goście uczynią to samo — wtedy bierze ramię sąsiada swego z prawej strony i wchodzi pierwsza do salonu. Poczem wszyscy mężczyźni podają ramię swym sąsiadkom i odprowadzają je na miejsce poprzednio zajmowane.

Jest jeszcze jeden szczegół, który warto poruszyć. Oto niektórzy niepewni są, czy przy przejściach ma iść pierwsza kobieta czy mężczyzna. Ponieważ mężczyzna, prowadząc kobietę, niejako toruje jej drogę, otwiera drzwi, uchyla portjery i t. p., a przytem jako podający ramię jest już tem samem nieco wysunięty naprzód — powinien, w tej roli, przejść pierwszy.

Kwestja poprawnego zachowania się przy stole i jedzenia jest ludziom starannie wychowanym tak dobrze znana, że w ich gronie nie zdarzą się chyba nigdy tego rodzaju uchybienia, jak np.:

Kołysanie się na krześle — trącanie łokciem — kładzenie ręki na ramieniu, albo na krześle sąsiadów — opieranie się łokciami o stół — trącanie nogami pod stołem — wycieranie serwetką szkła lub talerza — używanie wykłuwacza do zębów, których miejsce jest jedynie w łazience — krajanie chleba nożem — sprawdzanie, czy mięso lub ryba świeża — branie w palce drobiu i obgryzanie — jedzenie sosu łyżeczką i t. p. Tych błędów nie widujemy w towarzystwie w domach prywatnych, natomiast prześladuje nas ten widok po pensjonatach, restauracjach i wogóle w lokalach publicznych. Tym też ludziom na przestrogę wymienić należy co „wypada" przy stole.

Jeść należy cicho — nie wciągać zupy głośno z łyżki — nie mlaskać językiem, nie jeść łakomie i chciwie lecz z umiarkowaniem. Nie wypluwa się ostentacyjnie pestek i łupek z owoców wprost na talerz, lecz delikatnie wysuwa z ust na łyżeczkę i składa na talerz. Nie nalewa się zupy po brzegi — nie nalewa się za pełnej łyżki, tak, ażeby zupa spływała — nie przechyla się talerza w celu wybrania ostatniej kropli. (U Niemców dozwolone jest przechylanie talerza z zupą, w kierunku od siebie, w celu uniknięcia ewentualnego rozlania na ubranie.) Nie bierze się pełen talerz sosu do mięsa i nie wrzuca się doń kawałeczków chleba — nie obejmuje się kieliszka w górnej części, lecz za szyjkę, nie odsuwa się małego palca daleko od reszty i nie pije się po raz pierwszy, zanim pan domu tego nie uczynił. Również nie zaczyna się jeść, dopóki wszyscy nie nabrali z półmiska, co obowiązuje przy każdem daniu. Nie należy jeść pośpiesznie i nie przynaglać w ten sposób drugich, ani za powoli, ażeby całe towarzystwo nie czekało na nas. Nie mówić mając pełne usta, nie oblizywać warg, nie wyławiać językiem resztek jedzenia z pomiędzy zębów, nie kaszlać drugim w twarz, nie krajać całego kawałka mięsa w drobne kawałeczki, by odłożywszy nóż na obrus, jeść widelcem, nie brać noża do ust, nie zsuwać palców z rękojeści noża na ostrze, trzymać nóż i widelec między trzema palcami a nie całą garścią, nie robić niemi hałasu, trzymać łokcie blisko ciała, ażeby nie dotykać niemi sąsiadów. Nie dmuchać na gorące potrawy, nie ochładzać ich łyżką, nie bawić się chlebem, nie kruszyć i nie robić kulek, nie trzymać lewej ręki na kolanach lecz na stole, obok talerza. Prócz chleba nie dotyka się niczego palcami, nawet szparagi je się przy pomocy noża, którym odcina się zieloną część i nabiera na widelec.

Jednakowoż człowiek prawdziwie dobrze ułożony nie okaże nikomu zdziwienia, gdy dostrzeże któryś z wymienionych błędów. Nie będzie rzucał drwiących spojrzeń, ani robił aluzji złośliwych, gdyż dowodziłoby to nietylko braku serca, ale również małego obycia w świecie. Jest przecież tyle rzeczy potępionych towarzysko czy etycznie u nas, które w innych krajach, u innych ludów i społeczeństw, uchodzą za dobre.

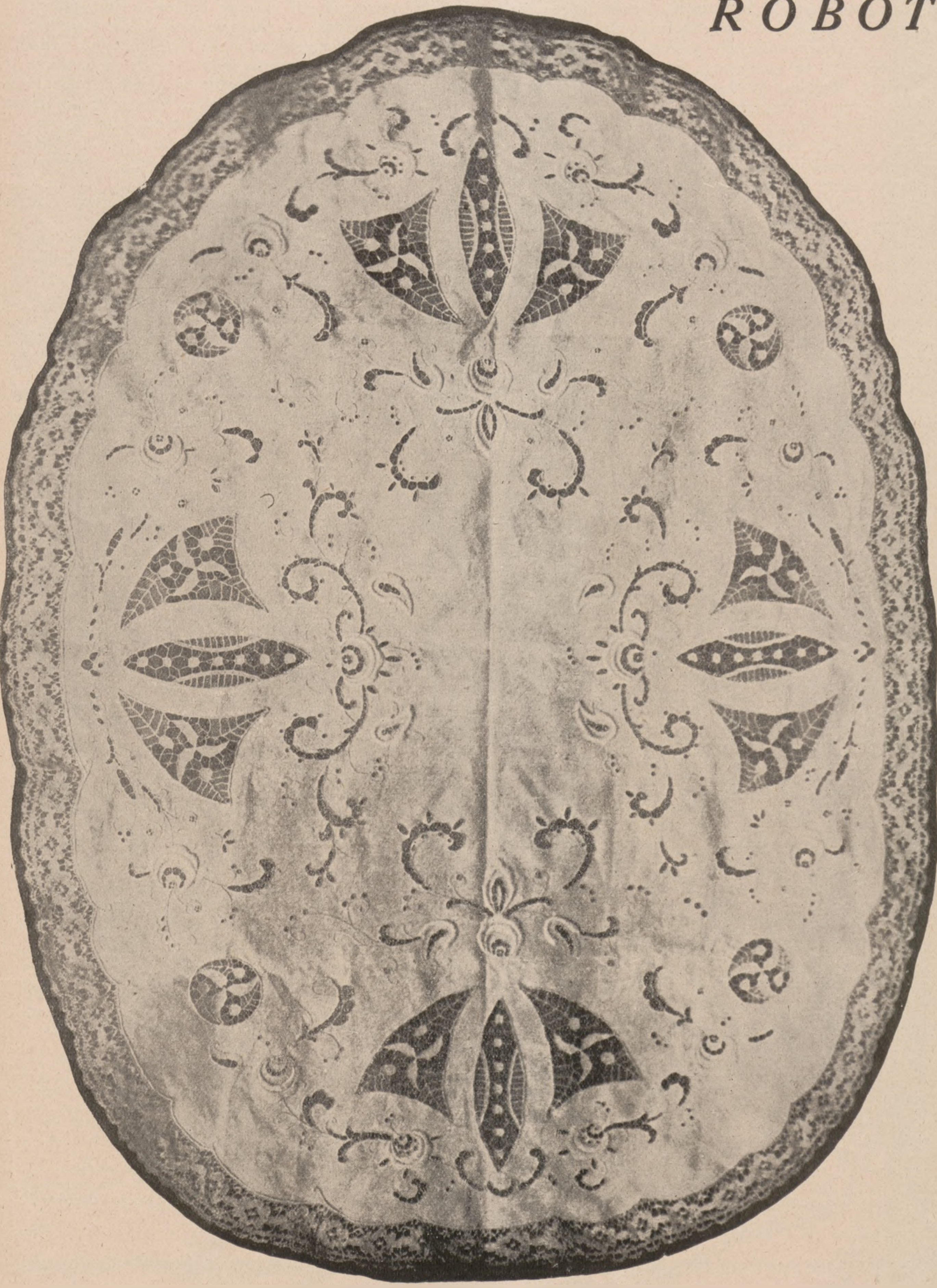
Opowiadają np. o królu Edwardzie, że gdy jeden z egzotycznych książąt, bawiąc u niego w gościnie, wylał czarną kawę na spodek i maczał w niej kawałeczek cukru — obecni przy stole przyjęli to widocznie z drwinami. Wówczas król wylał swoją kawę na spodek i jadł cukier na sposób swego gościa. A ponieważ etykieta dworska nakazywała, aby jeść jak król to czyni — więc ci, którzy drwili z obcokrajowca przed chwilą, musieli go naśladować.

Nie idźmy w gościnności tak daleko — ale wznieśmy się w towarzystwie do tolerancji i nie róbmy przykrości tym, którzy grzeszą z nieświadomości i którym los poskąpił starannego wychowania.

Obserwator

Przypominamy naszym Czytelniczkom, że dla skompletowania roczników względnie powieści dostarczamy dawne numera w cenie po 80 gr. wraz z kosztami przesyłki 1·— zł. Można nadsyłać w liście w znaczkach pocztowych

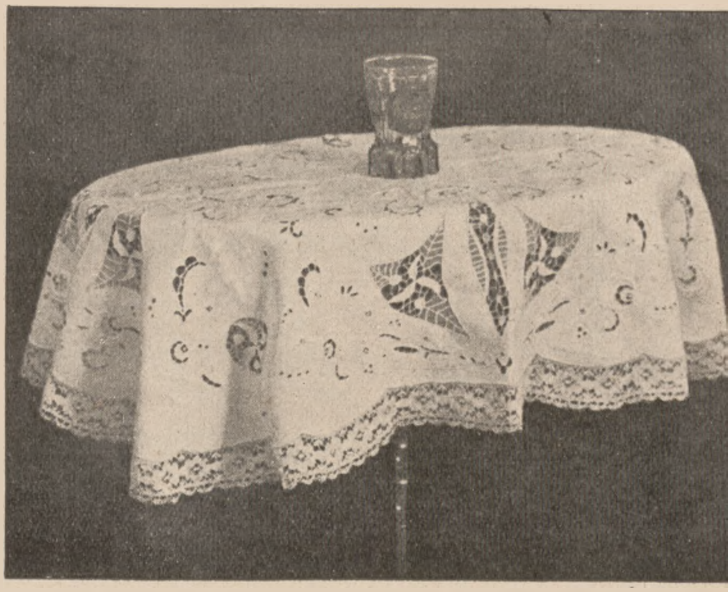
ROBOTY



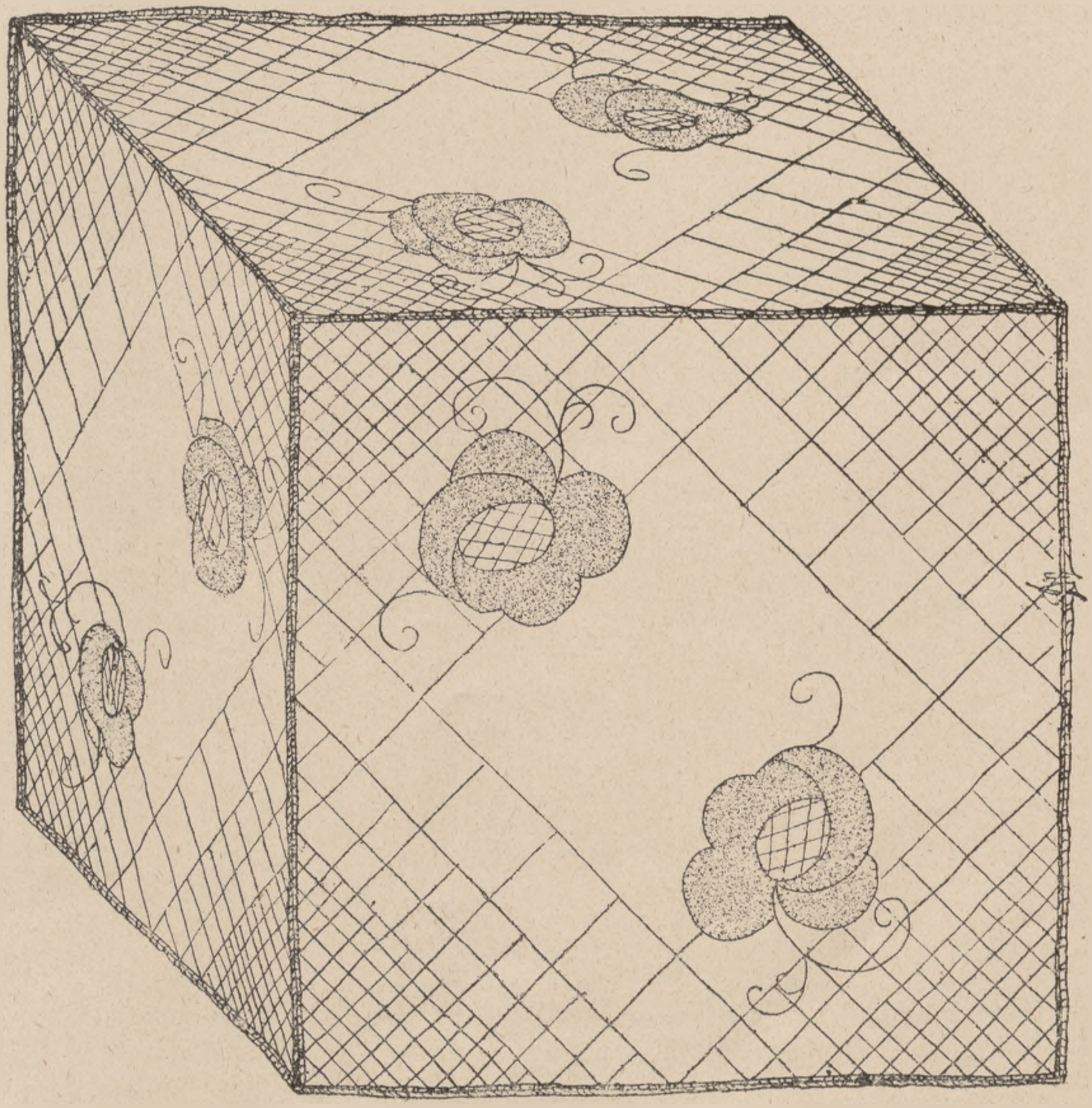
Rys. 16.

Rys. 16. **Obrus do herbaty.** (Proj. M. Geszwindowa.) Owal o rozmiarze 125×90 cm z białej cienkiej weby zdobi bogaty haft biały i gipjurowy oraz inkrustacje z szytej weneckiej koronki. Róże i liście wykonane wypukło atłaskiem, łodygi cienkim atłaskiem, gałęzie i większe liście robotą gipjurową a tu i ówdzie umieszczone jagody zdobią szyte pajączki. Brzeg dziergany wykańcza piękna klockowa koronka. (Inkrustacje koronki weneckiej można ewentualnie zastąpić motywami Richelieu wykonanemi wprost w materjale obrusika). Do obrusa należą serwetki o rozmiarze 30 cm^2 ozdobione jednym motywem haftu w rogu i zakończone brzegiem dzierganym bez koronki.

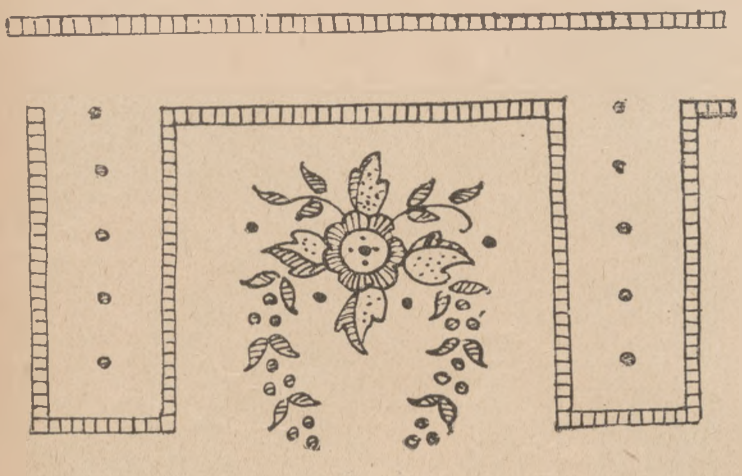
Rys. 17. **Poduszka w kształcie sześcianu.** Modny dziś fason poduszki można wykonać z sukna lub jedwabiu, łatwy ornament zdobiący ją składa się z rozpiętych nitek i rzuconych na nich kwiatach aplikowanych. Zależnie od materjału tła można haftować siatkę włóczką, jedwabiem, względnie metalową nitką, odnosi się to i do kwiatów, można je aplikować z aksamitu, skóry lub sukna, dobierając odpowiednio barwy do tła, np. fioletowy z zielonym, miedziany z srebrnem, lila z rezedowym. (Wzór nadaje się też do ozdobienia kasetek na chusteczki i rękawiczki).



Do rys. 16. Obrus do herbaty.



Rys. 17.

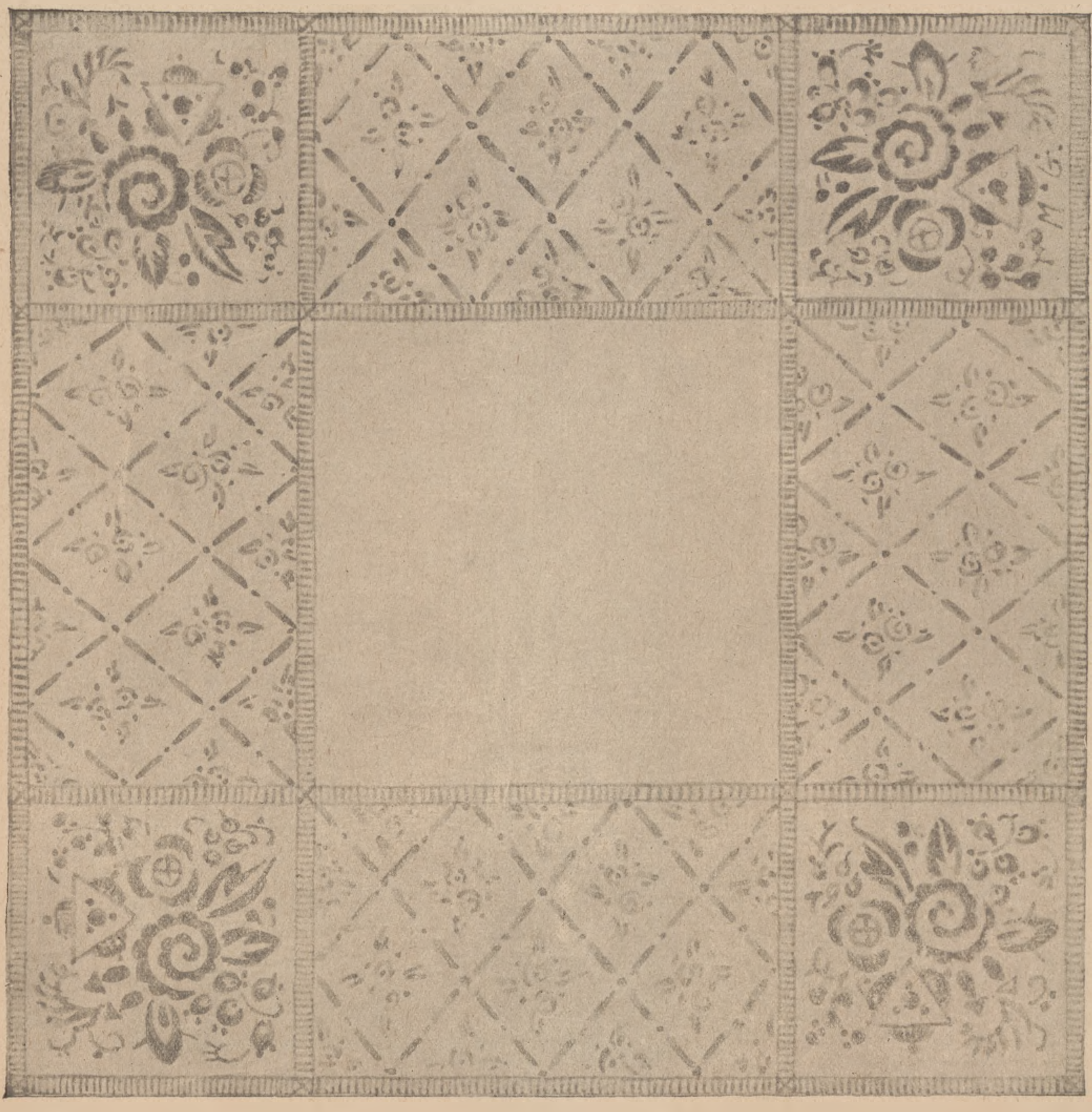


Rys. 18.

ROBOTY

Rys. 18. **Motyw haftu białego** do ozdoby wykwintnej bielizny. Przeważa w nim robota mereżkowa, dająca się dobrze łączyć z haftem atłaskowym, kropkami itd.

Rys. 19. **Obrusik,** rozmiar około 80 cm². Jako tło służy adamaszek meblowy w kolorze staro-złotym, na cztery części prostokątne, środek i cztery kwadraty po rogach są z ciężkiego jedwabiu gładkiego w tym samym co tamte kolorze. Haft w kwadratach w barwach purpury, zieleni, błękitu, blado-różowej i czarnej. Pojedyncze części łączy starosrebrna lub złota taśma. Wzór można też wykonać na białem płótnie, haftując deseń na prostokątach czarnym i złotym kolorem, a reszta ornamentu w rogach świeżemi, żywemi barwami, łączące linje mogą być czarne lub bronzowe. Płócienny obrusik wykańcza jeszcze brzegiem obręb na jakie 2 cm szeroki.



Rys. 19.

RĘCZNE

Rys. 20. **Obrusik,** haft barwny w stylu ludowym. Na obrusik użyto białej grubej weby o rozmiarze około 80 cm². Wzór wykonany ściegiem płaskim i gałązkowym. Obramowanie ornamentu ciemno-bronzowe, zygzaki jasno-bronzowe, dzwonki niebieskie z żółtem a wybiegające osty amarantowe w kilku odcieniach, w tym kolorze są też wykonane rozetki brzegiem i duże kropki w ornamencie. Kilka odcieni resedowej zieleni dopełnia całości. Wedle upodobania można wzór też wykonać w kilku odcieniach jednego koloru, względnie tylko czarno, czerwono lub zielono. Obręb przyszyty mereżką, wykańcza klockowana koronka.



Rys. 20.

MARJA CORELLI 21)

„BEZ CZEGO ŻYĆ NIE MOŻNA...“

POWIEŚĆ — Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁA W. TOMASZEWSKA

Niezadługo! I oto okazało się, że było to pożegnanie na zawsze, że nie miał jej zobaczyć już nigdy. Słaby okrzyk wydarł się ze spieczonych warg chłopca: „Och, Jaśminko, moja mała, biedna Jaśminko!“. Ani jedna łza nie upadła jednak z jego oczu, ciężar, tłoczący jego mózg, zdawał się tłumić wszelkie łzy. Jaśminka! — czyż to było możliwe, że z tej słodkiej, pełnej życia istotki nie pozostało nic, tylko bezduszny zezwłok? Ta luba niewinność, ta tkliwość pełna ufności, ta jej niezłomna wiara w dobrego Pana Jezusa i aniołki, — i pocóż było to wszystko? I pocóż stworzoną została istota tak słodka i delikatna, czyż tylko poto, by zginąć tak marnie i bez śladu?

— To jest okrucieństwo! — zawołał głośno, odwracając bladą, udręczoną twarzyczkę ku górze tam, gdzie zielone gałęzie rysowały się na tle nieskalanego błękitu. — Okrucieństwem było kazać żyć jej, okrucieństwem było stwarzać mnie, jeśli jedynym i ostatecznym końcem ma być śmierć. To jest bezmyślne, — gorzej, to jest okrutne! Gdyby śmierć nie kończyła wszystkiego, wtedy jeszcze mógłbym to pojąć. — Umilkł i spoglądał na rosnącą tuż przy jego oczach kiść storczyka. — Gdziesz podziejesz się ty, gdy zginiesz? — pytał, zbliżając twarz do wonnego kwiatu. — Czy posiadasz to, co ludzie zwykli zwać duszą, — taką duszą, co to po śmierci wyrastają jej skrzydła, na których odlatuje, by kwitnąć znowu jeszcze cudniej w jakimś innym, lepszym i piękniejszym świecie. Może masz taką duszę, może ją masz, lecz my tego nigdy wiedzieć nie będziemy!

Powstał z ziemi i stał bez ruchu, z rękoma splecionemi kurczowo, z ustami zaciśniętemi boleśnie. Może ci wszyscy uczeni nie są wcale tak mądrzy, jak myślą, — mogą się równie dobrze mylić. Ten Atom, o którym rozprawiają tak wiele, może on właśnie jest Bogiem, a Chrystus, którego oni opisują nam tylko jako dobrego i dzielnego człowieka, który pragnął zreformować społeczeństwo żydowskie, lub o którym twierdzą, że pewnie wcale nie istniał i jest tylko mitem, może On jest naprawdę tą boską istotą, jak to mówi o Nim Nowy Testament? Po tem życiu może naprawdę jest jeszcze jakieś inne życie, jakiś inny świat, w którym teraz jest mała Jaśminka. Cała rzecz tylko w tem, jak to zrobić, by się o tem całkiem na pewno przekonać? Postąpił parę kroków i nagle przystanął, — jakaś myśl jasna i nagła, jak błyskawica, przeszyła jego mózg, myśl, która niesamowitym blaskiem rozświetliła jego oczy i krwisty rumieniec wywołała na blade policzki. — Wiem już! — szepnął, — już wiem, jakim sposobem dowiem się tego wszystkiego szybko i niezawodnie. Dowiem się tej tajemnicy, — mogę się dowiedzieć i chcę!

Naraz ogarnął go dziwny, zupełny spokój, powoli odszedł z lasu, zeszedł ze wzgórza, na które wybiegł niedawno jak szalony, — i w zamyśleniu spuściwszy oczy, nie podniósł ich nawet wtedy, gdy mijał cmentarz. Po chwili znalazł się w własnym parku, gdzie spotkał profesora Cadman-Gore, przechadzającego się dość gwałtownie tam i zpowrotem po drodze wjazdowej.

— Hallo! — zawołał profesor. — Spacer udał się?

Lionel nic nie odpowiedział.

Profesor przyglądnął mu się baczniej.

— Czy znowu czujesz się kiepsko? — zapytał.

Lionel przymusił się do bladego uśmiechu.

— Nie, właściwie źle się nie czuję — odpowiedział. Tylko byłem na cmentarzu, — i ten mój znajomy zakrystjan kopał właśnie grób dla — dla swej małej córeczki, — jedynaczki, która umarła nagle na dyfterję, gdyśmy byli w Clovelly. To była jeszcze całkiem mała dziewczynka, — miała zaledwie sześć lat, — a ja — ja znałem ją — nazywała się Jaśmina.

Profesor był zaskoczony i zdziwiony. Dziwny spokój i jasność wyrażania się chłopaka, — oczy wbite w ziemię, boleśnie ściągnięta twarzyczka, uderzyły profesora. Nie znając jednak zupełnie historji znajomości Lionela i Jaśminy, uciekł się do ogólników.

— Byłoby dla ciebie lepiej, żebyś nie chodził na cmentarze — powiedział pod nosem. — Tam jest wilgotno i niezdrowo.

— A jednak tam właśnie musimy wkońcu pójść — powiedział Lionel z osobliwym uśmieszkiem. — Tam w ziemię, między robactwo, — tam wkońcu musimy iść — niema innej rady!...

— Mój ty kochany — zawołał profesor bezmała rozgniewany, — wolałbym, żebyś nie gadał takich głupstw, Lionelu. Mówiłem ci to już raz, — to nie ma ani sensu ani celu!

— Dlaczego? — pytał chłopak spokojnie. — Umrzemy wszyscy, — wszyscy — nieprawdaż?

— Naturalnie, — ale mówić o tem niema sensu, ani rozmyślać nad tem — sapał profesor zagniewany i zmieszany. — Skoro żyjemy, żyjmyż! — taka była ulubiona maksyma starożytnych Greków. A oni umieli używać i życia i wiedzy, — najmądrzejsza to zasada!

— Pan tak sądzi naprawdę? — Naprawdę? — pytał Lionel z tak postarzałym i udręczonym wyrazem twarzy, że stary wychowawca aż cofnął się zdumiony. — To byli przecież tylko głupcy i szaleńcy, którzy wkońcu wszyscy pomarli, — pomarli wszyscy, a ich miasta i wspaniałe akademje zniknęły bez śladu, — i cóż wynikło dobrego z ich całej nauki i mądrości?

— Jakto co? — pytał profesor, starając się zapanować nad sobą i prostując się w całej swej okazałości. — Dała ona podstawę do całej późniejszej wiedzy i literatury. Czy to nie jest coś?

Lionel westchnął. — Na pewno, że tak. Ale to wszystko zależy jednak od tego, jak się na to zapatrujemy — powiedział, — bo są tacy, coby naprzykład chcieli wiedzieć także i to, do czego ta cała literatura prowadzić może i jaki tego wszystkiego cel i koniec? Wydaje mi się, że nie możemy wcale oznaczyć jej pierwotnych początków, bo istniało tyle cywilizacyj, pogrzebanych i zapomnianych od tysięcy lat. Naprzykład, starożytni Meksykanie wierzyli, że istnienie świata składa się z pięciu okresów, z pięciu następujących po sobie słońc, że pięć razy nowe słońca rozpalały się i pięć razy gasły, a nasze słońce, będąc jeno tylko jednym z tych kolejnych słońc, też kiedyś zgaśnie! To było naturalnie tylko ich własne wyobrażenie o świecie, ich legenda, — zdaje mi się, że cokolwiek kiedy odkryto, popada zczasem w zapomnienie, i znowu powstaje i istnieje na nowo. Mnie się to wydaje strasznie bezsensowne i bezcelowe, — takie wieczyste powtarzanie się wszystkiego, — a to wszystko na nic...

Profesor spoglądał na niego poważny i zatroskany.

— Zdaje mi się, że jesteś zmęczony — powiedział z udaną szorstkością. — Lepiej pójdź wypocząć w szkolnym pokoju, albo połóż się trochę. Niema sensu przemęczać się. A poco szedłeś na cmentarz i poco przypatrywałeś się tam kopaniu grobu, pojąć nie mogę. Dziwny to zaiste i chorobliwy gust!

— Nie poszedłem tam, by przypatrywać się kopaniu grobów — odpowiedział Lionel spokojnie. — Chciałem się tam zobaczyć z jedną małą dziewczynką, — która już nie żyje. Myślałem, że ją tam zastanę, — o niczem nic nie wiedziałem, — nie spodziewałem się wcale... w głosie chłopca zabrzmiał stłu-

miony jęk, — zagryzł wargi, — i powoli ciągnął dalej. — Pan wie, — często panu o tem mówiłem, — że nie mogę dopatrzyć się żadnej rozsądnej przyczyny, dla której mielibyśmy żyć lub umierać. Wszystko da się jakoś wytłumaczyć, ale to jedno nie. To mnie najbardziej z wszystkiego interesuje, a nikt mi tego nie może wytłumaczyć, nawet pan, — dlatego też muszę poprobować dowiedzieć się tego sam — o ile tylko potrafię...

Zwykłym swym uprzejmym gestem uchylił przed swym nauczycielem czapeczki i powoli wszedł do domu. Profesor spoglądał za nim z nieokreślonem przykrem uczuciem niepokoju.

— Dziwny chłopak! — dumał stary pedagog. — Bardzo dziwny! Przytem mądry chłopak i zdolny. Jeśli tylko starczy mu sił i przetrzyma, może być kiedyś z niego niepospolicie wykształcony człowiek, a nawet znakomity uczony, — ale na jego zdrowie nie można bardzo liczyć. — Powoli poszedł aleją, ale po paru krokach przystanął nagle, i uśmiech napoły ironji, napoły zdziwienia rozjaśnił profesorskie oblicze. — Dziwna rzecz, niezwykle dziwna rzecz, nigdybym nie był przypuszczał, ale muszę stwierdzić ten nieoczekiwany fakt, że chłopak przypadł mi bardzo do serca. Bardzo! Dziwne to i konieczne poprostu, ale niema co, — bardzo lubię tego chłopaka! Stanowczo bardzo go lubię!

Zaśmiał się, — śmiech nigdy nie dodawał specjalnego uroku jego ostrej twarzy, ale teraz zmarszczki wkoło jego ócz ułożyły się w wyraz jakiejś sympatycznej uczciwości, którą omal że piękną nazwaćby można.

Rozdział XIV

Nadeszła noc, spokojna, rosą osrebrzona. Księżyca nie było i w głębiach przeczystego eteru niepodzielnie panowały lśniące gwiazdy. Jowisz jaśniał, nieprzytłumiony księżycem, pełnym swym blaskiem, Wenus lśniła jak klejnot bezcenny. Zdala niewyraźnie rysowała się linja wybrzeża, nad wzgórzami leżała lekka mgiełka, która zdawała się kryć poza lasami jakiś świat zaczarowany.

Powietrze pełne było upajających zapachów świeżo skoszonego siana i jakichś kwiatów, nad drzewami leżała już melancholja zapowiadającej się jesieni, — cisza panowała bezmierna, jakby wszystkie głosy Natury umilkły na rozkaz tego Głosu, który niegdyś powoływał świat do istnienia i uciszał fale potopu.

W „wielkim domu“, — bo tak nazywali mieszkańcy Combmartinu dom, najęty przez mr. Valliscourta, panowała również niezmącona cisza. Wszystko spało, jeden tylko Lionel czuwał. Siedział na skraju swego łóżeczka, z oczami szeroko rozwartemi, z mózgiem gorączkowo pracującym, z każdym nerwem rozigranym w wątłem ciałku. Nigdy nie wyglądał tak młodo i dziecinnie, jak w tej chwili, — blask rumieńca zawitał na jego policzki i wargi, a przedziwnie słodki uśmiech, który od czasu do czasu pojawiał się na jego twarzy, choć ledwo widoczny, zdawał się wyrażać jakieś miłe myśli. Poszedł na spoczynek o zwykłej godzinie, o zwykłej godzinie powiedział „dobranoc“ ojcu, który właśnie siedział pogrążony w wieczornych dziennikach i, nie podniósłszy oczu, skinął mu ledwie głową, — potem poszedł do profesora Cadman-Gore, zatopionego w jakiemś potężnych rozmiarów dziele i tak zajętego lekturą, że na pożegnanie chłopca odpowiedział jakby nieobecny: „Aha, więc idziesz już spać? Dobranoc, dobranoc!“ Mrucząc tak, uścisnął serdecznie łapkę Lionela, nie odrywając oczu od książki i nie przerywając czytania. Stojąc przed drzwiami swego pokoju, zawołał także nadół do Lucy „dobranoc“, czego właściwie prawie nigdy nie czynił, a ucieszona jego uprzejmością dziewczyna odpowiedziała z kuchni serdecznem „dobranoc paniczowi“. Wszedłszy do sypialni, nie zaczął nawet rozbierać się, nie przyłożył nawet na chwilę głowy do poduszki, tylko w swojem granatowem marynarskiem ubranku, w którym chodził cały dzień, usiadł na kraju łóżka i rozebrał tylko buciczki, by móc potem bez najmniejszego hałasu przemierzać tam i zpowrotem pokój, myśląc i myśląc bezustanku. Co za wir-war myśli! Ciężkie, jak grad, płonące jak ogień padały one na głowę chłopca. Zgasił świecę — sprawiało mu szczególną przyjemność chodzenie po pokoju w ciemności, gdyż mógł wyobrażać sobie w nich wszystko, czego pragnął. Naprzykład mógł w fotelu przy łóżku wywołać wyobraźnią obraz swej matki, taką, jak wtedy, kiedy w pamiętną noc kołysała go w ramionach, nazywając go najdroższą dziecinką. I tak wielką była siła jego wyobraźni, że ukląkł koło fotelu przy jej wymarzonej postaci i powiedział:

— Mamo, mamusieczko najdroższa, kocham cię, będę cię zawsze kochał! — potem zaśmiał się cichutko i wstrząsnął się cały, bo spostrzegł, że mówi tylko do mary swej fantazji, — że matka odeszła, — odeszła na zawsze! — i że jest sam, całkiem sam...

A potem, stanąwszy przy otwartem oknie i spoglądając w wygwieżdżoną noc, miał złudzenie, że na dole, w ogrodzie pod oknem stoi Jaśminka, z wianuszkiem swego kwiecia we włoskach, z błękitnemi oczkami wzniesionemi ku niemu, ku górze, — i ach, — zdawało mu się, — że słyszy jej głosik wołający:

— Lylie, Lylie! Chodź do mnie, będziemy się bawić! — Tak żywem i nęcącem było to wołanie, że poczuł chęć wyskoczenia oknem do drobnej, w cieniu ukrytej figurki na ciemnej murawie, — aż naraz uprzytomnił sobie, że to błędne złudzenie tylko, — jej grób był już gotowy, — miała zostać złożoną w ziemię i ukrytą w niej na wieki, — na zawsze zgasł jej promienny uśmiech, nigdy go już wołać nie będzie, — nigdy! Umknąwszy z kąta, z którego mógł widzieć jej blade, małe samotne widmo w ogrodzie, usiadł na łóżku, i huśtając nogami ciągle myślał, myślał i myślał. Usłyszał, jak po schodach ciężkim krokiem wszedł ojciec i zamknął się w swoim pokoju, — potem pokaszlując wszedł na górę profesor i oddalił się, suwając staremi nogami na koniec korytarza, gdzie znajdował się jego pokój. Potem w halu na dole wydzwonił staroświecki zegar jedenastą. A potem zapadła zupełna cisza, — cisza, która ożywia z tajemną siłą mary i czyni prawdopodobnem nieprawdopodobne.

I Lionel słuchał, słuchał tej ciszy, aż tajemniczość jej napełniła go niepokojem. Zeskakując z łóżka, pośpiesznie zapalił świecę i nerwowo rozejrzał się wkoło, jakby spodziewał się ujrzeć w pokoju coś niespodziewanego. Potem, zbierając siły, przysunął krzesło do ściany, wyszedł na nie, sięgnął do ukrytego w ścianie i dla niewtajemniczego oka niewidocznego schowku i wyciągnął stamtąd stary swój surducik, zwinięty w kłębek, w którego kieszonce leżała utajona owa jedwabna szarfa, haftowana w rumianki, dar pożegnalny matki. Wyjął ją, zamknął schowek starannie, zszedł z krzesła, — odstawił je na miejsce i stał długą chwilę głęboko zamyślony. Potem rozwinął szarfę w całej jej długości i z zachwytem oglądał ją. Złożył ją znowu i ukrył starannie na piersi pod surducikiem. Potem — siłą przyzwyczajenia wdział trzewiczki, wziął do ręki lichtarz z płonącą jeszcze świecą, otworzył drzwi na schody i nadsłuchiwał, powstrzymując oddech. Najzupełniejsza cisza otulała cały dom, tylko na dolnym podeście schodów trzask suchy wydała stara komoda. Prędko i cicho przemknął się do szkolnego pokoju, trzymając wysoko nad głową płonącą świecę. Drzwi były naoścież otwarte, wsunął się do pokoju i zamknął je leciutko za sobą z westchnieniem ulgi, jakby udało mu się wreszcie osiągnąć zdawna i gorąco upragniony cel.

Tu było jaśniej, niż na górze w sypialni, — okien nie przysłaniały gałęzie drzew i bez przeszkody zaglądały do niego gwiazdy, płonące tej bezksiężycowej nocy pełnym blaskiem. Postawił świecę na tym samym stole, przy którym spędził tyle pracowitych i mozolnych godzin nauki, która nie miała mieć dla jego przyszłości i szczęścia żadnego znaczenia, wyjął papier, pióro i atrament i usiadłszy wziął się do pisania ze spokojem i całą swą zwykłą pedanterją. Kreśląc wyraźnie i starannie litery, zadawał sobie serdeczny trud, by zwięźle i jasno wyrazić swe myśli; zapisawszy arkusik, starannie złożył go we czworo, zaadresował i zaczął pisać drugi. Potem zapełniwszy go znowu

swem starannem pismem, złożył go tak samo pedantycznie, — potem ułożył oba na stole i nie bez podziwu i dumy przypatrywał się im. Ustawił je tak, by adresy odrazu rzucały się w oczy. Brzmiały one:

„Do mojego Ojca
Johna Valliscourt Eskw. z Valliscourt."

Drugi brzmiał skromnie:

„Do Profesora Cadman-Gore."

Przez dłuższą chwilę bacznie przyglądał się im z słabym uśmiechem na twarzy.

— Wygląda to całkiem tak, jakbym miał zamiar uciec! — powiedział półgłosem. — A właściwie to tak jest! Bo to, co robię, to właśnie jest taka ucieczka! — Uśmiech jego stał się wyraźniejszy. — Przypominam sobie, co mi zawsze powtarzał Willie Montrose. A cóż ja innego robię? Ach, otóż to, przecież zapomniałem odesłać Willie'mu jego Homera!

Podszedł do półki z książkami, wyjął stamtąd Homera, zapakował go pięknie i zaadresował starannie do Montrosego. Potem po chwilce namysłu napisał jeszcze jeden list, który tak brzmiał —

„Kochany Willie!

Zostawił pan swoje ulubione wydanie Homera wówczas, gdy odprowadzałem pana do dyliżansu, a ja zapomniałem go panu w ostatniej chwili oddać. Teraz, kiedy odchodzę, łatwo mógłby się pański Homer zaplątać między książki Ojca, zostawiam go więc profesorowi Cadman-Gore (który jest dla mnie bardzo dobry), zaadresowaną do pana, żeby ją panu wysłał pocztą. Dziękuję panu za jego wielką dla mnie dobroć, — nigdy tego nie zapomniałem i jestem pewien, że nigdy jej nie zapomnę. Niech pan nie niepokoi się o mnie, — u mnie jest już wszystko w porządku.

Pański kochający i wdzięczny Lionel."

List ten włożył do koperty, którą zaadresował, lecz pozostawił otwartą i napisał parę słów na skrawku papieru, który wraz z kopertą położył na tomie Homera. Tych parę słów zawierało następujące polecenie:

„Kochany panie profesorze!

Proszę wysłać pocztą ten list i tę książkę w mojem imieniu do pana Montrose. Jest to jego Homer, którego pozostawił u mnie przez omyłkę, a będzie go zapewne potrzebował.

Lionel."

— No, zrobione! — powiedział, wytarł pióro, położył na miejsce atrament i papier ze zwykłą sobie spokojną metodycznością, — szepnął do siebie: — Do mamy niema celu pisać, bo i tak nigdyby tego listu jej nie doręczono.

Podszedł do okna i otworzył je, rozsunął kraty i wraz z falą nocnego powietrza wtargnęła do pokoju woń kwiatów, niedalekich lasów i morza. Noc była cudowna, a cichość tak głęboka, że słyszał lekki szmer drobnych fal, uderzających o brzeg, choć wybrzeże było zaledwie paręset kroków oddalone. W taką noc wierzące i czujące serca przepełnione są zachwytem i chwałą Bożą, jak święte kielichy winem radości i zbawienia, — kiedy dusze zdają się ulatywać z ciała i unosić się hen ku górze, śpiewając hymn na cześć Stwórcy, — kiedy Natura rozwija swój najgłębszy i najpotężniejszy czar, — kiedy to szczęściem się wydaje móc żyć, pracować, kochać i spodziewać się, — szczęściem być bodaj najmniejszą drobinką boskiego Wszechświata.

Lecz dla chłopca, patrzącego na tę cudną noc, nie przedstawiała ni woniejąca ziemia, ni wygwieżdżone niebo wzniosłego obrazu Najwyższego Porządku, lecz tylko największy chaos, — pole strasznej walki potężnych a bezlitosnych mocy, bezsensowne zbiorowisko bezcelowych istnień, które nie prędzej nauczą się kochać życie, aż śmierć pogrąży je w wieczystą nicość.

Lionel nie umiał nawet dokładnie zanalizować swych uczuć, spoglądał jeno prosto w gwiazdy, które jak mrugające wielkie złociste oczy patrzały wprost na niego, i myślał, jak dziwną jest nawet myśl sama, że tam w górze istnieją miljony światów, a wszystkie stworzone przez Atom bez celu! Nie umiał znaleźć na swe niepokoje cynicznej odpowiedzi, jaką oszukują się dorośli; biedny chłopak miał tylko namiętne pragnienie dowiedzenia się wreszcie tej wieczystej prawdy, — pragnienie, którego nie ukoją nigdy wszystkie uczone wywody ateistów. Pierwsze pytania, które stawia dziecko sobie i starszym, o wieczności i duszy potrzebują szlachetnych odpowiedzi, płynących zarówno z serca, jak z rozumu. Niedarmo mówi włoskie przysłowie — „Pierwsze „dlaczego" dziecka jest kluczem filozofji". Biada tym, którzy kruszą budzące się wyższe tęsknoty i pragnienia dziecka ciężkim młotem materjalizmu! Są oni gorsi od morderców i za cięższą niż morderstwo zbrodnię przyjdzie im kiedyś odpowiadać! Bo prawdziwe i wielkie są te słowa: „Nie obawiaj się tych, którzy zabijają ciało, ale lękaj się takich, którzy zabijają duszę!"

Są tacy, co mienią się mędrcami i mówią: — Niema Nieba, — niema wieczności, — niema Stwórcy.

Ich katechizm tak brzmi:

Pytanie: „A zatem niema Pierwszej Przyczyny wszechrzeczy?"

Odpowiedź: „Nie, bo, czego nie możemy dowieść naukowo, to nie istnieje wcale".

I tu właśnie leżało źródło trudności i utrapień Lionela. Czuł i domyślał się czegoś, czego nie mógł „dowieść naukowo", i nie mogło mu się pomieścić ni w głowie, ni w sercu, że to coś „nie istnieje wcale". Bo to c o ś — to nieokreślone, przeczuwane c o ś — znaczyło dla niego w s z y s t k o. Gdy stał przy otwartem oknie, spoglądając w gwiazdy, poczucie jakiejś nieskończonej wielkości, doskonałej samej w sobie Dobroci i Doskonałości spłynęło na jego duszę jak fala, nadchodząca hen od nieskończoności i zlewająca na niego nieuświadomione i słabe, a przecież słodkie uczucie spokoju.

— Jakież to cudowne! — szeptał — jakaż to cudna myśl, że za chwilę będę to wszystko wiedział, — ach, może zdarzyć się i tak, że odrazu spotkam Jaśminkę! — któż to wiedzieć może! Może to i niesłuszne z mej strony pragnienie wszystko odrazu chcieć się dowiedzieć, — ale nie zniósłbym już dłużej takiej niepewności, takiego obuczania się całej masy rzeczy bezpożytecznych, a niemożności dowiedzenia się tej jednej, najważniejszej rzeczy.

Odwrócił się nagle i rozglądnął. Jedna połowa pokoju była silniej oświetlona, tak, że łatwo mógł dojrzeć jeden z silnych żelaznych haków, przytwierdzonych do belkowania sufitu. Uderzony widocznie tym widokiem podszedł bliżej i bacznie się mu przypatrywał. Potem wziął krzesło, przysunął, stanął na nim i dotknął haku. Okazał się bardzo mocny. Uśmiechnął się marząco i wspomniał piękne dnie w Clovelly i owego nieznanego turystę, którego rybacy znaleźli wiszącego w szopie na wybrzeżu. Przypomniał sobie starego rybaka, który tłómaczył wówczas, że „nic łatwiejszego, jak powiesić się, jeśli ma się tylko szal i hak". Potem — powoli i z największą tkliwością — wyjął ukryty na piersi dar matki, jedwabną szarfę z girlandą rumianków i, rozwinąwszy ją, jeden jej koniec umocował starannie na haku, a z drugiego końca zrobił luźną pętlę, — tajemnicy wiązania wszelkich węzłów i pętli uczył go Montrose na wspólnych wycieczkach łodzią na morze. — Gdy z zadowoleniem stwierdził, że zrobił to jak należy, zeszedł z krzesła, pozostawił je na tem samem miejscu pod zwisającą szarfą, i rozejrzawszy się raz jeszcze dookoła, zgasił świecę. Stał teraz samotny w ciemnym pokoju, słabiutko tylko rozświetlonym małym blaskiem gwiazd, patrzył zadumany w otwarte okno, przez które napływało orzeźwiające i wonne powietrze nocy i poblask nieba, — i z uczuciem trochę oszołomienia, trochę lęku, podszedł ku oknu i z wzrokiem utkwionym w niebo upadł na kolana. Złożył rączki i podniósł ku niebu bladą, zmizerowaną twarzyczkę z wyrazem jakiegoś tragicznego zdziwienia ku miljardom światów, połyskującym z niezmierzonych odległości wszechświata na aksamitnem niebie. Ich srebrzyste promienie lśniły w jego lokach i błyszczały w podniesionych ku górze oczach, i z głębi przytłoczonego nadmiernym ciężarem serca taka głośna wydarła mu się modlitwa: C. d. n.

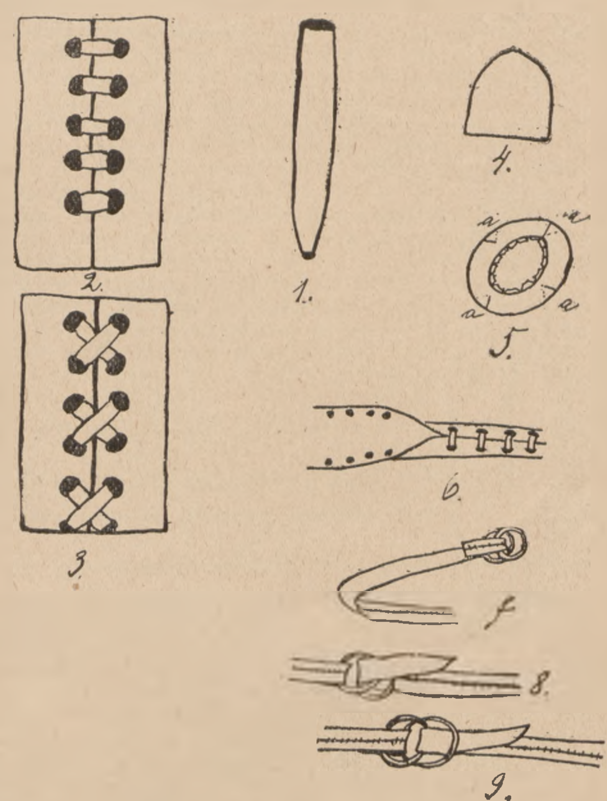
KURTKA I CZAPKA ZE SKÓRY

ŻAKIET I KAPELUSZ ZE SKÓRY. Dopiero od niedawna moda kobieca uwzględnia skórę, tak delikatną i trudną do przerabiania. Najwyżej do sportu automobilcwego okrywała się wykwintna pani skórą — dziś widzimy ją zastosowaną w najrozmaitsze sposoby i przekonaliśmy się, że jest równie twarzową jak praktyczną. Od mocnej cielęcej do wiotkiej i podatnej marokenowej znajdziemy w handlu wszystkie odmiany i barwy. Pora jesienna i zimowa szczególnie nadaje się do noszenia odzienia ze skóry, która chroni doskonale od wiatru i zimna. Niejedna z naszych czytelniczek pragnęłaby mieć taki garnitur sportowy, lecz wygórowana cena odstrasza ją od kupna. Dlatego chcemy dać możność, żeby mogła spełnić swe życzenie tanim kosztem i podajemy modele bardzo łatwe do wykonania.



Skórę wyciąga się zapomocą mocnych szpilek na stole lub innej równej powierzchni i kładzie na niej krój, przypinając go szpilkami. Jest obojętnem, w jakim kierunku kładzie się części kroju, starając się, żeby jaknajoszczędniej krajać. Na szwy dodaje się 1 cm. Tak przygotowaną skórę kraje się ostrym nożykiem. Następnie wbija się wzdłuż wszystkich brzegów dziurki zapomocą przyrządu rys. 1, który można nabyć w sklepach z przyborami szewskiemi. Teraz łączy się boki, ramiona i rękawy, sznurując tasiemkami ze skóry poprzecznie rys. 2, lub wkrzyż, rys. 3. Brzegi żakietu i rękawów zakańcza się, obrzucając je tasiemką. Do wycięcia szyi przyszywa się równy pas ze skóry szerokości 12—15 cm a długości 1 m, zapodszewkowany szkocką materją i zakończony frendzlami w kolorach materji. Zsznurowane szwy podkleja się paskami ze skóry, co trzeba uczynić bardzo czysto i ostrożnie. Żakiet można zapodszewkować szkocką materją, którą podbito szal, lub jakąkolwiek inną podszewką, lecz może także być noszony bez podszewki na ciepłym jumperze. Wykonanie kapelusika nie przedstawia również trudności. Wykrawuje się cztery części, rys. 4, na główkę i łączy tak, jak szwy żakietu. Na kresę sporządza się formę z merli, rys. 5, zakładając wszytki, 5 a, tworząc w ten sposób klosz. Brzeg obszywa się cienką tasiemką. Forma ta powinna być o 1 cm mniejsza od części skórzanych, których wykrawamy dwie. Po przyfastrygowaniu ich do formy w miejscu wycięcia na głowę, przykleja się skórzane części na formę, wygładzając je dobrze. Gdy brzeg stanie się trochę nierówny przez podatność skóry, obkrawuje się go, uważając zawsze, by skóra wystawała o 1 cm nad formę. Następnie wybija się dziurki naokoło i obrzuca paskiem ze skóry. Wycięcie głowy zakrawuje się naokoło na $1^1/_2$ szer., zagina do góry i przyszywa głowę.

Miejsce przyszycia pokrywa się paskiem, rys. 7. W tym celu kraje się pasek skóry 6 cm szeroki, wybija się dziurki i sznuruje tasiemką. Gotowy pasek kładzie się pod jakąś prasę, żeby był płaski. Grubszą skórę dobrze pociągnąć cienko gumą wewnątrz, przed zasznurowaniem, lecz tylko przez środek. Dwa pierścienie z mosiądzu lub jakiegoś innego metalu służą jako zapięcie. Przewleka się je na jednym końcu i przyszywa ten koniec kilku ściegami, rys. 7. Zapina się pasek, przewlekając koniec paska przez oba pierścienie, rys. 8, a następnie wstecz przez drugi pierścień, rys. 9. Taki pasek można także sporządzić w odpowiedniej długości do sukien lub płaszczy.

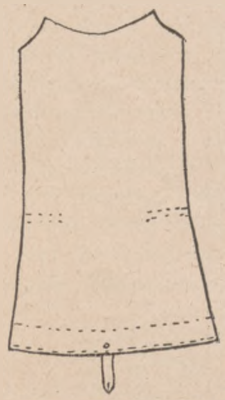


DWIE KOMBINACJE

Rysunek I-szy przedstawia bardzo praktyczną kombinację, zapinaną w kroku na dziurki i guziki, które umieszcza się na listewce. Boki trochę rozprute zakończone w górze kokardką. Całość ozdobiona koronką i łatwym haftem.

Druga kombinacja nadaje się pod szersze dołem sukienki. Z boków przymarszczona na gumce, dołem ozdobiona falbankami w zęby, obszytemi koroneczką. Wąski pasek tworzy zapięcie w kroku. Górą bardzo praktyczny krój zapewnia dobre leżenie. Koroneczka i wstawka, oraz przewleczona wstążeczka pięknie zdobią całość. Przy obydwu kombinacjach szeleczki z wstążki.



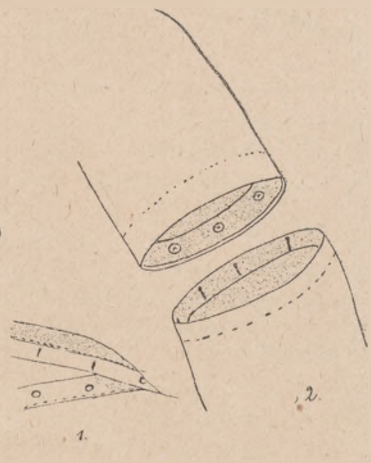






BLUZKA DLA PENSJONARKI



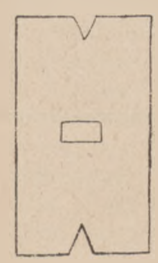


W niektórych pensjonatach istnieje zwyczaj noszenia t. zw. mundurków. Zarządzenie to bardzo praktyczne z wielu względów, wykluczające współzawodnictwo w ubraniu, nie podoba się jednakowoż niektórym matkom ze względu na to, że rękawy przepisanych białych bluzek bardzo prędko się brucząą, gdy bluzka jeszcze jest czysta. Dlatego pewnie z zadowoleniem dowiedzą się, że można szyć bluzki z rękawami do odpinania. Można więc albo uszyć odrazu dwie pary rękawów, albo odpinać i prać je, gdy zbrukane. Sposób wykonania takiego zapięcia uwidoczniają nasze ryciny. Rys. 1 przedstawia rękaw przypięty do listewki, przyszytej wewnątrz do dolnego brzegu górnej części rękawa. Łatwiejszy sposób przedstawia rys. 2. Tu guziki przyszyto wewnątrz do zapodszewkowanego dolnego brzegu górnej części rękawa. Sposób ten nadaje się jednak tylko dla tęższych materjałów.

SZYDEŁKOWANE UBRANIE DLA CHŁOPCZYKA

Według bardzo łatwego kroju robi się całe ubranie z niskich słupków, robiąc wzdłuż i wbijając słupki tak w poniższe oczka, że powstaje brzeżek. Na rękawki szydełkuje się w ten sam sposób równe prostokąty, które przyszywa się na bokach do ubrania, przed zeszyciem jego bocznych szwów. Ciemne kwadraty na jaśniejszem tle tworzą garnitury, które przyszywa się u szyi, u dołu rękawów i nogawek. Zapięcie w kroku uskutecznia się zapomocą szydełkowanej listewki z dziurkami u przedniej części, a szydełkowanych guzików u tylnej. Kto nie umie wrabiać wzoru, może go wyszyć krzyżykami, co teraz bardzo bywa stosowane.









Dobra Gospodyni

Wino ożynowe. Ożyny przebrać, spłókać, podusić w jakiejś dużej misce, drewnianą łyżką i zostawić w piwnicy przez dobę, by dobrze sok puściły. Wycisnąć przez płótno, sok zmierzyć: na 1 l. soku dać 2 l. wody zimnej i 1 kg. cukru, wlać do butla, zostawiając miejsce do fermentowania, a ponieważ ożyny z trudnością fermentują, dodaje się na każdy litr płynu 4 gramy kwasu winnego: „Weinsäure", z apteki. Potrząsnąć dobrze butlami, rzadką organtyną zawiązać otwór, postawić w słońcu, lub w pobliżu ciepłej kuchni, codziennie wstrząsając. Gdy po tygodniu burzyć się zacznie, a nawet ubywa z butla, przez otwór, dopełniać, czyli dolewać brakującą ilość, wodą osłodzoną, lub pozostawionym na ten cel, zapasowym, ożynowym płynem. Po paru tyg., gdy fermentacja się skończy, czyli, że płyn przestanie się burzyć i ostoi się, zlać go ostrożnie do innego butla, (nie ruszając mętów), do pełna, zawiązać mocno, papierem i zostawić w spokoju, do sklarowania. Po upływie tego czasu, ściągnąć do flaszek, pokorkować, zalakować i leżąco ułożyć w piasku, w piwnicy.

Pranie kolorowych czysto jedwabnych i półjedwabnych materji. a) Jedwabne materje piorą się na zimno, nigdy na gorąco. Do prania bierze się 4 litry wody rzecznej, mydła w miarę potrzeby i 1/2 litra spirytusu amonjakalnego.

Suknie pierze się w tej mieszaninie, a potem płócze się w czystej wodzie. Tkanina po wypraniu wygląda jak nowa. W tym samym płynie można też prać materje półjedwabne, chociaż kolor ulega zmianie: często jednak tkanina nabiera piękniejszego koloru od tego, jaki posiadała przed praniem.

b) Tkaninę zamiast mydłem naciera się żółtkiem z jaja i spłókuje się letnią wodą, dopóki nie będzie zupełnie czystą: potem wypłókuje się w wodzie i suszy się w zwykłej temperaturze. W szklance wody rozpuszcza się około 5 gramów gumy tragantowej i pozostawia się tak przez 12 godzin, zagotowuje się potem z wodą i w tym roztworze po poprzedniem przecedzeniu macza się tkaninę dla nagumowania. Wałkowanie odbywa się przez płótno.

Srebrne łyżeczki poczerniałe od jaj czyści drobno mielona wilgotna sól lub soda.

Figury gipsowe bieli się następującą masą: biel cynkową rozrobić z wodą na papkę, pozostawić przez jakiś czas, potem dodać tyle przegotowanego mleka, by powstała dość gęsta masa. Tą masą pendzlem smaruje się cienko figurę.

Szorstkie ręce można w ten sposób doprowadzić do porządku, że po każdem myciu natrzeć jeszcze raz starannie pianą z mydła i potem nie opłókując, osuszyć. Sposób ten jest szczególnie korzystny dla tych pań, które same pomagają w kuchni i przez ciągłe mycie niszczą ręce. Jeśli ręce są robotą przy kuchni bardzo zniszczone, należy je myć w papca zrobionej z trocin, piasku i zwykłego mydła.

Wełniane pończochy nigdy nie należy prać w za gorącej wodzie ani ich mydlić, tylko trzeć i przeciągać przez mydliny i płukać w czystej, letniej wodzie. Dla uniknięcia ściągania się pończoch niektóre gosposie i do płókania dodają nieco mydła.

Szklanki, jeśli mają być po umyciu pięknie świecące, jeśli się je natychmiast po opłókaniu wytrze suchą ściereczką. Do płókania dobrze dodać do wody nieco sody. Nie szkoda zadać sobie tego trochę trudu, bo nic nie wygląda tak nieporządnie, jak szklanka nieumyta jak należy. Przy nakrywaniu stołu należy szkło jeszcze raz czystą, suchą ścierką przecierać.

Noże, jeśli zachowały po cebuli lub śledziu przykrą woń, należy wytrzeć suchą solą. Zapach natychmiast zginie.

Plamy z atramentu na podłodze do szorowania usuwa się rozcieńczonym kwasem solnym.

Rezerwuary lamp naftowych czyści się suchym popiołem drzewnym na szmatce tak długo, aż cała wilgoć zniknie.

Aksamit odświeża się doskonale, przecierając go w jednym kierunku (za włosem) szmatką umaczaną w benzynie. Szmatka nie śmie kłaczyć i trzeba ją często zmieniać. Nie robić tego przy ogniu lub lampie naftowej.

Skrzypiące buciki pozbędą się tej nader niemiłej właściwości, jeżeli napoimy podeszwy olejem lnianym. Należy to powtarzać tak długo, jak długo podeszwa jeszcze olej wsiąka. Ma to jeszcze i tę zaletę, że czyni podeszwy nieprzemakalnemi.

Torcik daktylowy. (Wspaniały!) Cukru 20 dkg rozpuścić na syrop, wrzucić do niego 30 dkg obranych z pestek daktyli, trochę pogotować, ale niedługo, wcisnąć sok z 2 cytryn, gdy podgęstnieje a daktyle się rozgotują, zdjąć z blachy, wrzucić 1/2 f włoskich orzechów, wymieszać dobrze z tą masą daktylową i przełożyć 3 andruty tą masą, ale ciepłą, niebardzo gorącą, dobrze przycisnąć rękami andruty, żeby się na masie dobrze trzymały, okroić do równości boki i wystudzić zupełnie. — Wcześniej nie używać, aż dobrze wystygnie.

Najłatwiej strawne są następujące potrawy: rosół, kleik, sznycel siekany, befsztek skrobany, pieczeń cielęca, kotlet ciel., potrawka z cielęciny lub drobiu obranego ze skórki, jaja na miękko, sadzone, jajecznica, jaja ze szynką, purée z jarzyn, tapioca i grysik, marmolady owocowe, kefir i t. d.

Torcik czekoladowy, robiony bez ognia. 10 dkg tartej czekolady, 10 dkg migdałów, które należy sparzyć, obrać i utłuc w moździerzu, 20 dkg cukru i 10 żółtek ugotowanych na twardo i przetartych przez sito zmieszać razem następnie wygnieść rękami, co da się dobrze po chwili uskutecznić, gdyż wilgoć cukru, jaj i migdałów posłuży za łącznik. Podzielić tę masę na dwie części, wziąć talerz płaski, wykroić opłatek wielkości wgłębienia talerza, na nim położyć połowę masy, rozgniatając ją płasko i przełożyć następującą mieszaniną: 34 dkg obranych i utłuczonych migdałów, łyżka cukru, pół laski tłuczonej wanilji i łyżkę dobrej słodkiej śmietanki, rozetrzeć razem drewnianą łyżką i położyć na placku czekoladowym, nakrywając resztą masy czekoladowej. Rozpuścić 34 dkg czekolady bardzo szybko w 2 łyżkach kwaśnej śmietany, natychmiast oblać nią cały torcik i postawić na zimnie.

Chartreuse. Ten wyborny i wytworny likier sporządza się następująco: 24 gr kolendru, 2 gr anyżu, 2 gr szałwi, 4 gr dzięglu, 1 gr szafranu. Korzenie te namoczyć w 1/2 l spirytusu, tylko szafran oddzielnie w kieliszku spirytusu, bo moczony razem robi esencję mętną. Zostawić w cieniu przez 3—4 dni. Następnie wziąć 8 f cukru, na każdy funt wlać kwaterkę wody, zrobić syrop, gotując krótko, wyszumować, w gorący jeszcze lać 3 1/2 l spirytusu, powoli mieszając, żeby się sam sklarował, wkońcu przez gęsty muślin wlać spirytus z korzeni i szafranu, wymieszać, a gdy wystygnie, pozlewać w butelki i używać dopiero po 3 miesiącach. Będzie czysty bez filtrowania. Dla pewności, żeby się potem cukier nie skrystalizował, wsypać do syropu w czasie gotowania pół łyżeczki kwasu winnego.

Suszone pomidory. Małe, niebardzo dojrzałe, twardawe, ale już czerwone pomidory obetrzeć, rozdzielić na cztery części i suszyć na słońcu, lub też na kuchni po wygaśnięciu ognia. Tak ususzone pomidory przed użyciem namoczyć na godzinę we wodzie, ugotować w rosole i przefasować, a będą smakowały, jak świeże.

Zabezpieczenie kapusty od gąsienic. Po zachodzie słońca uzbierać tataraku, połamać łodygi i porozrzucać po zagonach zasadzonej kapusty, lub innych jarzyn, jak np. kalafjorów. Zapach tego ziela zabija gąsienice. Powtórzyć zabieg, jeśli nie wszystkie odrazu wyginęły.

O DROBIU

Obstrukcja objawia się u kur brakiem apetytu, grzebaniem po kątach, z nastroszonemi piórami. Leczyć olejem rycynowym, najlepiej dając do połknięcia maleńką kabzułkę. Do jedzenia moczona bułka czerstwa i zielenina.

Przy rozwolnieniu mają kury z tyłu zbrukane pierze. Powodem nadmiar mięsnego jedzenia, robakow, odpadków kuchennych.

Obmyć pierze ciepłą wodą, posmarować ciepłą oliwą. Do jedzenia ryż na gęsto, jagły gotowane, lub kasza hreczana. Do gardła wlać łyżeczkę czerwonego wina, nieco ogrzanego.

Jeśli kury roztłukują i jedzą jaja, dawać im łupy z jaj, wymieszane z gorczycą, a gdy nie chcą się odzwyczaić, lepiej je zabić, aby nie nauczyły innych kur tej brzydkiej nawyczki.

Przeciw pasożytom przeciwdziałać kąpielami z piasku i czystością kurnika. Zapylać kurom pierze kwiatem siarczanym, lecz bardzo ostrożnie, by oczu nie zapruszyć.

Gdy kury się niosą, dawać im glinę, stary tynk, gruz — łupy z jaj do jedzenia mieszać, dla uzyskania mocnej skorupy na jajach.

Kura starsza, niż 4 lata, jest już do niczego.

W kącie stajni, najlepiej naprzeciw żłoba, umieścić banty, pod niemi szeroką deskę, dla zbierania nawozu, (aby nie zanieczyszczał podłogi w stajni) — pod deską mogą być gniazda do niesienia się kur. — Nawóz kur składać zupełnie osobno.

Nawet przy szczupłości miejsca w stajni, powinno się temu zapobiec, żeby nawóz mógł się dostać do żłobu, do jadła bydląt.

W środku — pomiędzy 2-ma stajniami, jest również bardzo dobre miejsce na kurnik. Budując go, najlepiej dać podłogę tak wysoko, żeby pod nią zostało miejsce na 1—1$^1/_2$ m wysokości, które można użyć na skład narzędzi ogrodniczych, albo dla kur siedzących na jajach — także na kąpiel piaskową dla drobiu — na skrytkę przed deszczem i t p.

Przed tchórzem, kuną, lisem, jastrzębiem i innymi szkodnikami trzeba kurnik dobrze zabezpieczyć. — Im cieplejszy jest, tem korzystniej dla kur. — Podłoga najlepsza jest murowana, a potem cementowana, bo jej szczury przegryźć nie mogą. Ma być nieco pochyło zrobiona, dla lepszego odpływu wody przy szorowaniu. Raz na tydzień wyszorowany kurnik, ma być na podłodze wysypany piaskiem, albo miałem torfowym.

Raz na miesiąc szorować i pobielić banty, dla wytępienia robactwa.

Dach na kurniku powinien być mocno zbity, z trwałego materjału. Miejsce między dachem a sufitem wypełnia się przed zimą szczelnie sianem, lub słomą, dla zabezpieczenia ciepła.

Pod sufitem umieścić w kurniku małe otwory dla wentylacji, zabezpieczając je gęstą siatką drucianą przed szkodnikami. — Stosowne klapy służą do zamykania wentylatorów, podczas mrozów w zimie.

Światło niezbędnem jest także — muszą być i ze 2 małe, oszklone okienka, z wewnątrz siatką drucianą zaopatrzone.

Dywan, który stracił apreturę — jest miękki, wskutek czego odgina się na brzegach (rozumie się, strzyżony, który ma lewą stronę) po wytrzepania i wyczyszczeniu rozłożyć na podłodze, lewą stroną na wierzch, lekko przybić gwoździkami małymi, w 5-ciocentimetrowych odstępach, zwilżyć nieco wodą i dać dywanowi wyschnąć. Potem pociągnąć go słabym roztworem rozgotowanego karuku, lekko, by płyn nie przesączył się na stronę prawą — a gdy zupełnie wyschnie, odzyska dawną sztywność i zaginać się nie będzie.

Jak poprawić smak starego masła? Włożyć do rynki z gotującą się wodą, a gdy się rozpłynie i sklaruje, wystudzić. Wyjąć potem z wody, przerobić z roztworem sody, (na 1 l. wody, 1 gram aptecznej sody), wypłukać, jeszcze raz wypłukać z wodą i małą domieszką octu. Wkońcu przegnieść z mlekiem świeżem, spłukać czystą wodą, a będzie zupełnie dobre.

Mus pomidorowy na zimę. Dojrzałe, piękne pomidory obmyte, obtarte, poprzekrawać, nieco posolić i rozgotować bez wody. Miękkie przefasować przez sito i gotować powtórnie, by masa zgęstniała jak powidło. Ciepłą złożyć do małych słoiczków, dać im z wierzchu obeschnąć w ciepłej rurze (po obiedzie), przez co dostaną trwałą, jędrną skórkę, chroniącą mus od pleśni. Gdy wystygną, zawiązać papierem albuminowym, albo zalać pechem.

Galareta ze śliwek. Śliwki poprzekrawać, wydrelować, zalać wodą w takiej ilości, by je pokryła i gotować z kwadrans, albo dłużej, aż sok puszczą. Wycisnąć sok, przefiltrować przez płótno, osłodzić, (w stosunku $^1/_2$ f. cukru do 1 l. soku) i gotować jak każdą galaretę, do próby, poczem ponalewać gorącą do małych słoików.

Wyzyskanie zużytych listków herbaty. Zamiast je wyrzucać, składać trzeba przez parę dni, wilgotne, do jakiegoś naczyńka, a gdy już jest pełne, posypać raz koło razu powierzchnię dywanu i zmiatać miotełką ryżową dokładnie. Listki wybierają kurz znakomicie, odświeżając przytem barwy deseni, tak, że dywan wygląda, jak wyprany. — Wiadomo, że codzienne trzepanie nie w każdem mieszkaniu jest możliwem, zaś szczotkowanie wznieca proch w pokoju. Sposób powyższy jest bardzo higjeniczny i dogodny. Jeżeliby listki były przeschnięte, skropić je nieco i wymieszać, przed posypaniem.

Oszczędzanie wody. Ktoś, przeczytawszy ten nagłówek, skrzywi się z politowaniem, mówiąc: co za absurd!

A jednak oszczędność, pod względem używania wody, powinna znaleźć szersze zastosowanie tam, gdzie dostęp do studni jest utrud-

niony, lub też ona znajduje się dalej od mieszkania, gdy trzeba płacić za noszenie wody, lub kto ma służącą, gdy ona traci wiele czasu, idąc po wodę — itd. itd.

Pani domu powinna nauczyć służącą, jak się myje naczynie, (przedewszystkiem musi to sama umieć!), żeby np. wody gorącej z odparzonego ryżu, odwaru z gotowania szpinaku i innych jarzyn, bezmyślnie nie wylewała, bo można jej użyć do nalania tłustych od potraw garnków i rynek, żeby się wyparzyły na kuchni gorącej. nim ona szkło i porcelanę umyje. Potem je łatwo w tej samej wodzie zmyć może, a tylko opłucze dokładnie w zupełnie czystej, również gorącej.

Przy praniu bielizny zużytkować brudne mydliny w lecie, do podlewania róż, drzewek i krzewów owocowych, a wreszcie stosu kompostowego. Wodę od płukania bielizny, zlewać do znajdującej się w ogrodzie kadzi, jako zapasową, do podlewania warzyw. Służyć może także do umycia korytarza, schodów, lub podłogi w kuchni.

Bukiety kwiatów w lecie potrzebują codziennie świeżej wody, żeby się dłużej utrzymały — wczorajszą zlewać do konewczki od podlewania roślin doniczkowych. — I w tym sensie różnie można jeszcze zużytkować wodę dawniejszą, aby nie marnować bezpotrzebnie sił służby, ani ich czasu, który mogą użyć do innych zatrudnień.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Redakcja udziela porad w sprawach kosmetycznych i gospodarskich i w kwestjach sztuki indywidualnego ubierania się.

Na koszta odpowiedzi prosimy nadsyłać 20 gr. W miarę możności prosimy podawać swój adres.

Azjadea. Podajemy żądany adres: Henry Ford, Detroit, Mich. USA.

Stasi K. Owszem, blondynkom o popielatym odcieniu włosów bardzo dobrze jest w kolorze czarnym, ale młodość wymaga barw jasnych i wesołych, a ciągłe noszenie sukien czarnych sprawia smutne monotonne wrażenie i mimowoli nasuwa się przypuszczenie, że i myśli takiej osoby są niewesołe. — Trzeba korzystać z praw młodości i otaczać się barwami słonecznemi, bo potem będzie za późno, a ten promienny okres życia nigdy już nie wróci!

Zmartwionej. Cieszy nas bardzo, że mydło, które Pani zrobiła sposobem przez nas podanym, udało się. szkoda tylko, że nie dodała Pani zapachu, a mianowicie robi się to w ten sposób: w chwili, gdy preparat usuwa się z ognia, przed zlaniem we formy, wlewa się esencję i miesza dobrze. — Prześliczne jest mydło z zapachem soku poziomkowego. — Chcąc mieć mydło z zapachem jaśminu, wlewa się trochę esencji tego rozkosznego kwiatu i razem z mydłem roztapia. — Bardzo dobrą jest też do mydła esencja różana.

Świt. Nadmierne owłosienie usuwają czasowo depilatory, trwale elektroliza, stosowana przez lekarza.

Kapitanowej H. Jesteśmy zdania, że do Pani wzrostu kostjum angielski będzie najodpowiedniejszy, wysmukla on linję i wskutek tego wydawać się Pani będzie wyższą. Do takiego kostjumu w kolorze granatowym ładnie wyglądałby mały cloche, albo zawój, z materjału wzorzystego, o żywych kolorach.

Młodej mężatce. Doskonale rozumiemy troskę Pani o ładny i estetyczny wygląd w tym przejściowym okresie. — Otóż doskonałe złudzenie optyczne sprawiają wszystkie draperje nieregularne, osobne części na różnych wysokościach sukni umieszczane, a zachodzące jedne na drugie, nierówny obwód sukni dołem (mówimy o strojach wieczorowych!), modne obecnie szale, których końce muszą spadać dobrze poza stan, wreszcie wszelkie fantazje pelerynkowate. — Zaznaczamy jednak wyraźnie, że wszystkie te przybrania, dodatki i uzupełnienia toalety muszą być wykonane z jak najcieńszych tkanin i jak najmiększych materjałów, ażeby nie obciążyć i nie pogrubić sylwetki, która powinna robić wrażenie niezdecydowane. Przybrania te i *voilages* mają wyglądać raczej na idywidualne kaprysy i kokieterje mody, aniżeli na ukrywanie czegokolwiek.

Haneczce z Wólki. Biedny Pikuś! Szczerze z nim współczujemy, bo nadmierne tycie nawet dla pieska nie jest wskazane. — Proszę go nie obkarmiać zanadto (wystarczy dawać jeść raz na dzień) i nie pozwalać mu spać po całych dniach, a z pewnością ulubieniec Pani nabierze znowu ładnej „linji"!

Angielce. — Rozumiemy upodobania Pani do kostjumów w stylu angielskim — jednak rzadko komu jest w nich dobrze i rzadko kto umie je nosić, zachowawszy w całości czystość stylu. Co zaś do bluzek *chemisier*, koszulkowemi dawniej zwanych, to możemy Panią uspokoić, że są noszone. Kołnierze stojące lub wykładane, rękawy długie, zawsze z mankiecikiem. Jeśli bez krawatki, wówczas przód zapięty na małe guziczki a jako wykończenie drobne zakładki, stębny, wąziutkie mereżki. Kolor przeważnie biały — materjały dowolne. W gotowych fasonach przeważa *crêpe de Chine*, płótno jedwabne, otoman, ryps.

Nauczycielka z prowincji. Cena lamy srebrnej waha się od 40—60 zł. na metr. — Wysłać materję za pobraniem może: Litwinowicz, Lwów, ul. Halicka. — Ilość metrów zależna od fasonu. Przy zamawianiu lamy proszę dołączyć wybrany fason, a w sklepie najlepiej obliczą. Przeciętnie idą dwie długości na suknię i kawałek na wolant, falbanę, czy coś podobnego — mniej więcej 3 metry, albo 3½ metra. Model 6728 w nrze 15-ym „Świata Kobiecego" ubierze Panią doskonale. — Lama srebrna jest marzeniem Pani, a przytem pyta Pani w jakim kolorze byłoby Jej najlepiej? Czy o drugą toaletę chodzi? Najmodniejszym kolorem na wieczorowe suknie jest różowy we wszystkich odcieniach i byłoby Pani np. w blado-morelowem bardzo ładnie.

Stała Prenumeratorka. Jeżeli różne kuracje zewnętrzne nie odniosły pożądanego skutku, wynika z tego, że jest u Pani zła przemiana materji. — Jest to przypadłość, na którą może poradzić jedynie lekarz, dobierając indywidualną kurację. — Z zewnętrznych, o ile Pani jeszcze nie próbowała — zalecić możemy mycie benzyną raz na dzień. Zwilżyć watę i bardzo delikatnie przesunąć nią po twarzy i nosie, ale unikać wcierania, które mogłoby skórę zadrażnić.

TREŚĆ NUMERU 18-go:

BIELIZNA

Jeden z współczesnych psychologów i obserwatorów życia oświadczył w dziele swem, opiewającem kobietę, że bielizna, bardziej niż suknia, futro, kapelusze, pończoszki itd., odsłania charakter i umysł noszącej ją kobiety. W tych właśnie szczegółach intymnych kobieta oddaje się swobodnie kaprysom swej wyobraźni i upodobaniom bardziej osobistym.

Coby powiedziały matrony minionych pokoleń, widząc koszulę dzisiejszą, cieniutką, miękką, przezroczys'ą, całą w ażurach i koronkach, którą można przeciągnąć przez pierścionek? Właścicielkę takiej koszulki okrzyczanoby jako czarownicę, bezwstydną i rozpustną, udającą się na miotle na sabat wiedźm! Dzisiaj bielizna: koszulki dzienne i nocne, czepeczki, napierśniki, majteczki, reformy i kombinacje rozmaite, chusteczki, matinki, te przedziwne obłoczki jedwabiu, krepy chińskiej i batystu, to naprawdę wykwit piękna, zmaterjalizowanego, by zdobić kobietę. Kobieta w brzydkiej bieliźnie — to rzecz nie do darowania. Krój i uszycie — to podstawy pięknej bielizny; dlatego też bielizna kupiona gotowa tak rzadko jest istotnie elegancka. Szycie „białe“, t. j. bielizny, to specjalna umiejętność, ale przy dobrych chęciach, paru lekcjach i odpowiednich wzorach, każda kobieta potrafi uszyć śliczną, modną bieliznę.

Administracja „Świata Kobiecego“ wysyła Czytelniczkom na zamówienie **piękne albumy** z modelami modnej, wytwornej bielizny: **Lingerie Moderne** po zł 5·—, mniejszy album **Varia Lingerie** po zł 2·50. Kwotę można przysłać w liście, dołączając 1 zł na przesyłkę. Do wszystkich modeli tych albumów dołącza się na żądanie **gotowe kroje.**

OPIS MODELI:

206 Kostjum z materjału *kasha* przybrany krótkowłosym futrem.
207 Kostjum z wełny w kratę przybrany australskimi opossumami.
208 Kostjum sukienny przybrany futrem, żakiet z wąskim rewersowym kołnierzem.
209 Kostjum z czarnego materjału. Spódniczka w fałdy po bokach, żakiet angielskim krojem.
210 Kostium z wełny w pasy przybrany plisami w pasy poprzeczne i futrem nutria.
211 Suknia z materjału *kasha* suto przybrana bortą, plastron i kołnierzyk ozdobiony riuszką.
212 Suknia z wełn. rypsu z białym kołnierzykiem, fason prosty, wąski.
213 Suknia z tuniką z jasnego materjału, wąski spód z ciemnego, kołnierz i żabot z białego plisowanego tiulu.
214 Suknia ze szkockiej materji z białym zamszowym paskiem.
215 Suknia z kaszmiru przybrana czarnym jedwabiem, plastron z białej *crêpe Georgette.*
216 Suknia ze szkockiej wełny, wąski spód z gładkiej.
217 Suknia z materjału *kashavella*, kołnierz i wielka krawatka z białej haftowanej organdyny.
218 Suknia z gabardyny na przodzie plisa ozdobiona guzikami, kołnierz, plisowany żabot i mankiety z białego opalu.
219 Suknia z modnej wełny w deseń przybrana guzikami i futrzanym kołnierzykiem, plastron jedwabny.
220 Suknia z cienkiego sukienka przybrana guzikami i aksamitem.
221 Płaszcz z welurowego materjału przybrany futrem.
222 Płaszcz z wełny angielskiej w kratę przybrany futrem.
223 Płaszcz z duvetyne z wielkim kołnierzem i mankietami z futra czarnego lisa.
224 Płaszcz z wełny w paski ozdobiony guzikami i futrem.
225 Płaszcz ze skóry *nappa* z podwójnemi kieszeniami, kołnierz i mankiety futrzane.
226 Kostjum do konnej jazdy. Spodnie z cienkiej skóry, żakiet szewiotowy oblamowany tasiemką.
227 Sportowy kostjum z materjału *diagonal* w kratkę, żakiet z karczkiem i gładka spódniczka.
228 Płaszcz do automobilu z silnej wełny, kołnierz z daksów.
229 Kostjum z angielskiej wełny w kratę, żakiet z kieszeniami.
230 Kostjum *composé* do sportu. Spodniczka z wełny w kratę, żakiet wysoko zapięty ze skóry *nappa.*
231 Bluza z *crêpe majunga* z plisowanym przodem u dołu.
232 Bluza z *crêpe de Chine* z kokardą na boku, kołnierzyk z koronki.
233 Bluza z białego jedwabiu *fulgurante*, haft i pasek czarny.
234 Bluza z jedwabiu w turecki deseń, plastron biały.
235 Bluza z *crêpe de neige* cała drobno plisowana.
236 Bluza z *crêpe de Chine* ozdobiona haftem.
237 Bluza z jedwabiu w biało-czarny deseń, ozdobiona czarną wypustką.
238—244 Praktyczne spódniczki na jesień i zimę z materjałów *kasha*, *velours*, sukienka, *homespun*, szewiotu, rypsu i t. p., przybrane plisami, guzikami, kieszeniami, patkami, taśmą i wypustką.
245 Kostjum dla podlotka z materjału *drapella* przybrany futerkiem.
246 Kostjum z *kasha* w pasy, krój angielski.
247 Kostjum dla panienki z szewiotu, spódniczka we fałdy po bokach, żakiecik krótki oblamowany taśmą.
248 Sukienka dla panienki z czarnego aksamitu z białym jedwabnym kołnierzykiem.
249 Sukienka dla panienki z wełny w kratę z małą kieszonką u góry.
250 Sukienka dla panienki z materjału *velours* przybrana sutaszem i guzikami.

KROJE:

KROJE POJEDYNCZE:

Ceny krojów: zwykłe miary od 1·20 do 2 zł. Miary osobiste od 2 do 5 zł. Wysyłka za zaliczką.

Miary: I. szczupła, II. normalna, III. tęższa, IV. tęga.

Kroje z żurnali „Bielizna“, „Dziecko“, „Varia“, „Star“, „Smart“, „Confection Moderne“, „London Styles“, i i. w cenie od 2—5 zł.

Kroje normalnej miary z „Świata Kobiecego-Rekordu“ dostarczamy odwrotnie. Kroje miar osobistych, oraz z innych żurnali w terminie dwutygodniowym.

CENY WZORÓW ROBÓT RĘCZNYCH:

Obrusy, firanki, kapy i t. p. po 2 zł. Milieu, poduszki, makatki po 1 zł. Motywy, tabletki i t. p. po 0·80 zł. lub jak podano przy wzorze. Celem zaoszczędzenia bardzo znacznych kosztów zaliczki, prosimy należność przesyłać przy zamówieniu (można w liście w znaczkach pocztowych) wraz z kwotą 0·25 zł. na koszta przesyłki.

Zamówienia należy skierowywać do ADMINISTRACJI „ŚWIATA KOBIECEGO“, LWÓW, KSIĘGARNIA POLSKA. Detaliczna sprzedaż we Lwowie w Księgarni Polskiej, ulica Akademicka 2a.

CUDA MODY

jesiennej i zimowej zawierają w przepięknym wyborze nasze żurnale sezonowe

WIELKIE ALBUMY

STAR

500 modeli wytwornych wszelkiego rodzaju. Cena zł 4·—

SMART

400 eleganckich i praktycznych modeli. Cena zł 3·—

MODA DZIECINNA

L'ENFANT

Wielki album bogaty i artystycznie wykonany. Cena zł 2·40

DZIECKO

Śliczne, wybrane modele, tekst polski. Cena zł 2·—

PŁASZCZE I KOSTJUMY

CONFECTION MODERNE

180 modeli pełnych prostoty i wytworności. Cena zł 4·—

NOUVEAUX COSTUMES

70 modeli skończenie wytworn. i oryginalnych. Cena zł 2·50

BIELIZNA

LINGERIE MODERNE

Cudny, nadzwyczaj bogaty album bielizny. Cena zł 5·—

VARIA LINGERIE

Wybór eleganckich modeli bieliźnianych. Cena zł 2·50

ALBUMY SPECJALNE

LONDON STYLES

Miarodajny żurnal ang. kostjumów i płaszczy. Cena zł 4·—

JUPES ET BLOUSES

Album spodnic i bluzek, ogromny wybór. Cena zł 2·50

NA KARNAWAŁ

CARNAVAL

Piękny album toalet balowych i maskowych. Cena zł 3·—

CROQUIS DE BAL

Wykwintne toalety balowe w art. wykończeniu. Cena zł 12·—

Na koszta wysyłki należy przesyłać 1 zł. Dla zaoszczędzenia kosztów zaliczki wskazane jest przesyłać należytość przy zamówieniu. Wysyła na żądanie

ADMINISTRACJA „ŚWIATA KOBIECEGO"

LWÓW, CHORĄŻCZYZNA 27

Przy zamówieniach i korespondencji prosimy powołać się na ogłoszenia w „ŚWIECIE KOBIECYM"

Wydawca: Bernard Połoniecki — Lwów. — Odpow. redaktor: A. W. Bednarski. — Adres Redakcji i Administracji: Lwów, ul. Chorążczyzna 27

Skład Redakcji: **Janina Łada-Walicka, Wanda Tomaszewska.** Roboty ręczne: **M. Geszwindowa**

Z drukarni Zakładu narodowego imienia Ossolińskich pod zarządem A. Wierzbickiego.


M.G.